Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK IV NR. 18 (90)
DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA
WARSZAWA, DNIA 15 LUTEGO 1936 R.
CENA 50 GR.

Polski plan organizacji Europy

Spór o przyczyny upadku Polski trwa dotąd, nierozwiązany. Niedawno wybuchł on z charakterystyczną zaciekłością na Zjeździe Historyków w Wilnie, a echa jego pobrzękiwały długo w „Pionie“ i innych czasopismach. Problemat zasadniczy: czy upadła naskutek własnych błędów, czy też z winy zaborców, spełniających na niej swój gwałt przemożny? Kłócą się o to dwa obozy historyków oddawna. Istnieje i trzeci punkt widzenia: „alle beide“. Istotnie, pogląd to najbliższy prawdy, dwie te przyczyny zazębiają się nierozerwalnie. Ale to trzecie, kompromisowe rozwiązanie stanowi triumf nazbyt łatwy, o ile nie potrafi wyjaśnić, z jakiejś — wyższej jeszcze perspektywy — genetycznego związku obydwu tamtych przyczyn i ich historjozoficznego uwarunkowania.

Stawiamy tezę własną: *Polska upadła, gdyż nie dorosła do roli, wyznaczonej przez elementy wewnętrzne i zewnętrzne jej predestynacji historycznej.* W swem wyjątkowem położeniu geopolitycznem i geokulturalnem, Polska nie potrafiła stać się mocarstwem na europejską miarę, czyli nie umiała rozpoznać i wypełnić swego posłannictwa (co na jedno wychodzi, bo mocarstwowość jest funkcją posłannictwa, czyli misji kulturotwórczej narodu jako imperjum). Elementy wewnętrzne i zewnętrzne tego posłannictwa, zamiast stać się jej siłą, przeistoczyły się naskutek tej opieszałości w pierwiastki jej słabości i przywaliły ją katastrofą, samym ciężarem swego bezwładu.

Elementy te *wewnętrzne*, to przedewszystkiem dyspozycje plemienno-psychiczne: podział narodu na dwa typy zasadniczo-przeciwstawne: 1) państwotwórczy, (który wyraził się w pełni w budowie mocarstwa Piastów i Jagiellonów), 2) wolnościowy, (którego ucieleśnieniem była Rzeczpospolita „złotej wolności“ szlacheckiej). Elementy *zewnętrzne*, to znowuż: 1) położenie Polski między Niemcami a Rosją (szerzej: między Zachodem i Wschodem), 2) problem powszechny Europy nowożytnej, (w centrum, której znajduje się Polska, najdogłębiej związana z losami tej części świata).

[*Uwaga.* Tylko ten ostatni punkt wymaga wyjaśnienia: Od stuleci przeżywa Europa kolosalny kryzys moralno-polityczny, naskutek braku *zasady stałej*, na której możnaby ustabilizować trwały system pokoju i ładu. Polska to nervus vagus tego chorego układu. Unicestwienie Polski, jako ośrodka równowagi politycznej, wywołało łańcuch kataklizmów, zakończony wojną światową. Lecz system światowej organizacji pokoju i bezpieczeństwa nie da się zmontować formaliter, dopóki trwa kryzys duchowy człowieka europejskiego, mającego system ten stworzyć. Pojawienie się komunizmu i ruchów faszystowsko - narodowych jest znamiennym symptomem tego chaosu moralnego, wynikłego z panicznych poszukiwań owej, nieznanej jeszcze światu, zasady stałej. Otóż Polska, wciśnięta między komunistyczne i faszystowskie projekty nowego porządku moralnego, jest potencjalnym arbitrem i centrem nowej równowagi duchowej, jakiej poszukuje nasz kontynent. Jeżeli tedy Polska nie odegra przeznaczonej jej roli konstruktywnej (pasującej ją na rzeczywiste mocarstwo, w miejsce frazeologicznej retoryki „mocarstwowej“) nieunikniony jest wybuch nowej wojny światowej].

Polska przedrozbiorowa nie potrafiła ani stworzyć idei nadrzędnej, zażegnującej spór między elementem państwotwórczym, a wolnościowym i koordynującej je na płaszczyźnie nowych, rozległych zadań historjotwórczych, ani też wyzyskać swego położenia między przeciwstawnemi siłami dynamicznemi Europy i w punkcie ośrodkowym skomplikowanej problematyki kontynentalnej. Nie umiała zapanować nad temi wszystkiemi współczynnikami swych dziejów, aby rozpocząć niemi *wielką grę* o własną potęgę i o dobro świata. Oto geneza jej upadku. Dziś, po odbudowie swego stanowiska czynnego w układzie sił międzynarodowych, Polska staje w obliczu tych samych determinant i problemów. Wewnątrz toczy się, ukryty — pozornie tylko zażegnany przez nową konstytucję — spór dwu jej elementów plemiennych: państwotwórczego i wolnościowego (którego irracjonalnym motywem jest podświadoma polska potrzeba stworzenia *społeczności samorzutnej*, samorządu narodowego); nazewnątrz warunkuje nas niezmiennie położenie graniczne pomiędzy Niemcami faszystowskiemi a komunistyczną Rosją (a zarazem między kręgami kulturowemi Zachodu i Wschodu), oraz nierozwiązany *problem powszechny świata współczesnego*. Palec wskazujący historji zdaje się mówić: „To a to macie do zrobienia. Oto dylement potęgi lub upadku, linja demarkacyjna siły i słabości. Od was zależy wybór drogi“.

Konkluzja jasna: Polska musi się zdobyć na ambicję wielkomocarstwową, przeprowadzić rzetelną analizę krytyczną przyczyn obecnego chaosu światowego, stworzyć własny plan konstrukcyjny i zagrać nim, jako najwyższą stawką swej misji historycznej w Europie. Tylko polski „kompleks niższości“ może w tem, widzieć coś niemożliwego. Mogą mieć własną koncepcję systemu bezpieczeństwa i prawności międzynarodowej Waszyngton, Paryż, Londyn czy Berlin, dlaczegóżby nie miała go mieć ul. Wierzbowa? Im wszechstronniejszy i systematyczniej opracowany będzie taki plan, tem mniej w nim będzie utopijności, czy obawy błędu. Myliły się zresztą i kluczyły w praktycznem stosowaniu swych koncepcyj mocarstwa takie jak Wielka Brytanja, wolno tedy i Polsce korygować i ulepszać elementy swej koncepcji, w zależności od aktualnych konjunktur i uwarunkowań. Złudzenia Wilsona, czy Kelloga, omylne rachuby Hendersona, rozczarowania paneuropejskie Brianda, czy kaznodziejskie próby koncyljacyjne Mac Donalda miały w sobie napewno o 100% więcej utopijności, niżby jej mógł zawierać „polski system pokoju“ najbardziej nawet optymistyczny i abstrakcyjny. Polska bowiem znajduje się w sytuacji tak eksponowanej, że wszystkie tamte iluzje nie mogły znaleść w niej posłuchu. Niebezpieczeństwo stałe, na które Polska więcej od wszystkich krajów europejskich jest narażona, nakazywało jej obserwować czujnie grę żywiołowych sił na kontynencie, wyłamujących się ze sztywnych ram Ligi; każda bowiem gwałtowniejsza erupcja tych sił musiałaby się, naskutek specyficznego położenia Polski w europejskim układzie równowagi, odbić przedewszystkiem na nas. Stąd zapewne ten sceptycyzm, z jakim Polska odnosiła się zawsze do Genewy.

Ale Polska, patrząc krytycznie na zbiorowisko dobrze wychowanych panów, obradujących nad Lemanem, znajduje się w lepszem położeniu od innych sceptyków, takich jak Niemcy czy Włochy, gdyż nie usunęła się z Ligi ani nie „zadarła“ z nią tak, by ją to stawiało w pozycji ekscentrycznej. Polska może tedy zawsze, nie wychodząc z Genewy, poddać krytyce dotychczasowy ustrój współpracy międzynarodowej i zaproponować radykalne w nim zmiany.

Mianem utopji określamy zazwyczaj koncepcję sztywną, nieliczącą się dostatecznie z warunkami „réalité des choses“. Otóż „polski system pokoju“ nosiłby piętno wprost przeciwnie. Założeniem jego powinno być właśnie *wzięcie pod uwagę całokształtu owych sił żywiołowych*, których gra stanowi dziś o przyszłości Europy i świata cywilizowanego. Zarzut utopijności dotyczy właśnie Genewy i różnych pryncypjalnych projektów rozbrojeniowych, czy „paktów Kelloga“, gdyż one to chcą pomieścić płynną dynamikę stającej się historji w ramach ciasnych i sztywnych. Garnitur genewski nie da się wtłoczyć na wstrząsane konwulsjami dziejowemi ciało Europy. W świecie współczesnym pojawiają się ruchy, prądy ideowe i dążności, działające poza obrębem Ligi Narodów, a zarazem rozsadzające ją od wewnątrz. Ze wszystkich rzeczy pewnych, najpewniejszem jest to, że *większe nie pomieści się nigdy w mniejszem*. Tymczasem Liga zamyka oczy na tę prostą prawdę i nie chce słyszeć o zalegalizowaniu i równouprawnieniu politycznem tych żywiołowych sił, naciskających od zewnątrz. Liga podpisuje w ten sposób sama na siebie wyrok. Bo ten kocioł pęknie nieuchronnie, rozsadzony wybuchem nowej wojny światowej.

Albo się chce reprezentować *ludzkość* w jej różnorodnych upostaciowaniach, albo też ogranicza się do organizowania części ludzkości przeciwko drugiej jej części. Tak właśnie zachowuje się Liga. Ideały demokratyczno-radykalne są rzeczą piękną (n. b. nie dla wszystkich), lecz nie przesądza to istnienia w Europie ideałów innych, np. żywiołowych ruchów narodowych, owych — niewykrystalizowanych jeszcze — *nacjonalizmów dynamicznych*, które Genewa usiłuje postawić milcząco *poza prawem*. To się nie da zrobić i właśnie ta gra va banque, podjęta przez międzynarodówki liberalne, będące możnemi protektorkami Ligi, prowadzi do rozłamu świata na dwie wrogie grupy państw (i narodów), popychane do starcia po jakiejś niebezpiecznej równi pochyłej. Utopją jest tedy każda konstrukcja światowego systemu bezpieczeństwa, która nie włącza w siebie tych dynamizmów narodowych, w charakterze równouprawnionym.

Z drugiej strony, wewnątrz wszystkich niemal narodów i państw, wchodzących lub niewchodzących w skład Ligi, wre ustawiczna, nierozegrana walka między wrogiemi ideologjami socjalno-politycznemi, nagromadzająca w różnych punktach Europy całe stosy dynamitu. Zaogniony konflikt między parlamentarną lewicą i prawicą, przenosi się raz po raz na ulicę, wylewając się w łożyska „lewych frontów“, „lig patrjotycznych“ i t. p. Wybuchające rewolty i krwawe masakry (Niemcy, Austrja, Francja, Hiszpanja, Brazylja i t. d.) zaostrzają nienawiść wzajemną, między obozami społecznemi, a reperkusje tych wstrząsów odbijają się zarówno w Genewie, jak na giełdach ekonomicznych, nie mówiąc już o powstawaniu ognisk zapalnych skomplikowanych konfliktów (organizacje terrorystyczne prawe i lewe, sprawa zamordowania króla Aleksandra, udział Litwy w zabójstwie min. Pierackiego, a hitlerowców w zabójstwie Dollfusa i t. d.). Oczywistem jest tedy, że bez uniwersalnych prób, podjętych w imię pacyfikacji socjalnej wewnątrz społeczeństw, system bezpieczeństwa światowego pozostanie zawsze iluzją. Ludzkość nie może żyć i gospodarować twórczo pod wiecznie wiszącą groźbą nagłych powikłań i konfliktów.

Grubym nonsensem jest również pozostawienie problemów społeczno-religijnych poza nawiasem takiego systemu. Nowy „Kulturkampf“ w Niemczech, problem katolicyzmu w Austrji, problem Unji kościołów zachodniego i wschodniego, nie są to kwestje obojętne dla całokształtu zagadnienia. Poztem trzeba sobie uświadomić, że religja wysuwała zawsze ideał uniwersalności, była więc naturalnym sojusznikiem koncepcji federalności narodów; zaś wpływ jej na masy, wciąż jeszcze silny, czyni z niej element doniosły i konstruktywny. Pokój religijny między państwem a kościołem, i między poszczególnemi wyznaniami, współpraca Watykanu z Ligą Narodów, byłyby czynnikiem niezwykle pożądanym ogólnego uspokojenia umysłów. Podobnie element opinji publicznej, którego waga ujawniła się choćby w niedawnem obaleniu ministra Hoare w Anglji, nie został dotąd wzięty pod uwagę w dostatecznej mierze. Polska pierwsza wysunęła projekt „rozbrojenia moralnego“, koncepcja ta wymaga jednak skonkretyzowania i upowszechnienia. Światowy kongres najwybitniejszych przedstawicieli opinji publicznej, uczonych, pisarzy, wychowawców, dziennikarzy i t. p., zwołany do Warszawy, mógłby przeobrazić ten mgławicowy projekt w instytucję trwałą i zorganizowaną, wyposażoną w dość wszechstronne i skuteczne środki działania.

Oczywistem jest, że nie da się to wszystko pomieścić w ramach Ligi Narodów. Ale też mylą się ci, którzy sądzą, że system federalności międzynarodowej wyczerpuje się w Lidze. Jest ona tylko jednym z wielu elementów takiego systemu (czego do dziś nie zrozumiała jeszcze dyplomacja europejska). Polski system pokoju charakteryzować winien syntetyzm i integralizm, tak aby żaden z czynników, grożących naruszeniem równowagi, nie znalazł się poza jego obrębem.

Trzeba wyróżnić cztery elementarne składniki takiego ogólnego systemu: 1) układ *równowagi politycznej*, w którym czynnikiem decydującym pozostanie zawsze „koncert mocarstw“, 2) kongres permanentny, czyli *związek państw* (Liga Narodów), który jednakowoż służy do wyjaśnień wzajemnych i posiada moc wykonawczą bardzo ograniczoną, 3) *opinja publiczna*, reprezentowana formalnie przez międzynarodową federację intelektualistów i instytucyj kulturalnych, 4) Kościół, lub raczej *porozumienie kościołów* w celu praktycznego oddziaływania na przyśpieszenie pacyfikacji świata.

Prócz tych składników elementarnych, niezbędnem jest jeszcze, dla ich koordynacji nadrzędnej, ustanowienie *zrzeszenia kierowniczego*, o charakterze czysto opinjodawczym i koncyljacyjnym. Byłby to czynnik najważniejszy w tym uniwersalistycznym systemie. Powiedzieliśmy wyżej, że zagadnienie nowoczesnych dynamizmów narodowych z jednej strony, a antynomji socjalnej, rozdzierającej każde społeczeństwo na dwa wrogie obozy (zachowawczy i postępowy) z drugiej strony, domaga się gwałtownie jakiegoś pozytywnego rozwiązania,— i że bez takiego rozwiązania nie może być mowy o zorganizowaniu trwałej konstrukcji prawności międzynarodowej. Narody, w swem spontanicznem poczuciu własnej, odrębnej misji historycznej, będą się wyłamywać jeden po drugim z sztywnych form współżycia, stworzonych przez Ligę, izolując się w dumnej samowystarczalności i w irracjonalnej wierze, że wola i instynkt plemienny narodu stoi ponad prawem. Jednocześnie prawe i „lewe fronty“, pożerając się wzajemnie z coraz to większą zaciekłością, będą się zrzeszać w koalicje międzypaństwowe, idąc pod komendę ideologij faszystowskich i komunistycznych, i prąc niepowstrzymanie do rozgrywki, czy to w postaci wojen domowych czy też wojny powszechnej między blokami państw, o światopoglądach przeciwstawnych. To też nieodzownem jest uregulowanie od wewnątrz obydwu tych problemów, przez powołanie do życia instytucyj nowego typu: 1) *Ciał Kierowniczych*, jako reprezentacyj nadrzędnych ideału obywatelskiego, normujących i łagodzących walkę polityczną stronnictw w łonie państw, w imię ideji *poświęcenia dla państwa*, 2) *narodowych elit kierowniczych*, reprezentujących dążności ideowe poszczególnych dynamizmów nacjonalnych i formułujących wyraźnie roszczenia i poglądy każdego narodu na jego misję kulturotwórczą w świecie.

Otóż współpraca teoretyczna międzypaństwowa Ciał Kierowniczych, jako instytucyj ustrojowych, mających za zadanie zastąpić krwawe starcia żywiołów lewicowych i prawicowych przez ich układy i rokowania dwustronne, w ramach arbitrażu państwa, jako całostki nadrzędnej, — ustanowiłaby coś w rodzaju *„parlamentu światowego“*, którym Liga Narodów, jako kongres ekspertów wojskowych i dyplomatycznych, nie jest i być nie może. Uzupełnieniem takiej współpracy międzypaństwowej byłoby porozumiewanie się elit narodowych, informujących się wzajemnie o poglądach i zadaniach cywilizacyjnych, do których poszczególne narody czują się, ze względu na swą liczebność, położenie i stopień kultury, uprawnione. Współpraca Ciał Kierowniczych i elit narodowych, ujęta w jeden wspólny organizm prawny, utworzyłaby *zrzeszenie kierownicze*, wykreślające ogólny kierunek rozwojowy cywilizacji i zapobiegające wzajemnym zaognieniom.

Wypracowanie i wysunięcie takiego syntetycznego planu jest kwestją nietylko naszej misji historycznej i prestiżu wielkomocarstwowego, lecz i prostego instynktu samozachowawczego. Grozi bowiem nowy kataklizm światowy, w którym nasza młoda państwowość wystawiona będzie, naskutek sytuacji geopolitycznej, na szczególne niebezpieczeństwo.

Chrystus czy Antychryst

(Na marginesie książki N. Bierdiajewa o komuniźmie)

> ... et c'est précisément cette lutte ouverte contre les lois morales qui présente necessairement, dans l'histoire de l'humanité, une période nouvelle et excentrique pour l'espèce humaine, parce qu'une telle période, si elle arrivait aux fins auxquelles elle vise actuellement, c'est-à-dire, à l'anéantissement des lois morales et au triomphe de l'immoralité sur la terre, amènerait manifestement une nouvelle CHUTE MORALE de l'homme.
>
> *(Hoene-Wroński, „Apodictique", 58-59)*

Podług Wrońskiego, ludzkość rozwija się, od czasu rewolucji francuskiej, w kierunku ekscentrycznym, odrzucając coraz to gwałtowniej początek boski praw moralnych i ugruntowanego na nich autorytetu politycznego. Zasada wyłącznej zwierzchności ludu sprowadzi w konsekwencji zaprzeczenie wszelkiego celu hyperfizycznego, transcendentnego, i stworzenie fałszywej idei postępu, odwracającej rozwój ludzkości w kierunku wprost przeciwnym do nadanego jej przez Boga, i „sprawiającej wreszcie prawdziwą destrukcję sataniczną ludzkości na ziemi".

Postęp rzeczywisty ludzkości polega na stopniowem stwarzaniu coraz to doskonalszem przez samorzutność stwórczą rozumu (= duch) dwu wielkich zasad transcendentnych: Prawdy i Dobra, których maximum oznacza poznanie absolutne istoty wnętrznej Boga i nieśmiertelność osobową człowieka. Celem końcowym istnienia ziemi jest s t w o r z e n i e s i ę w ł a s n e człowieka (i ludzkości), przez utożsamienie finalne wiedzy najwyższej (poznania Boga) i bytu najwyższego (nieśmiertelności duszy). Otóż Wroński stwierdza istnienie na ziemi „zgraji tajemniczej" istot kakodemonicznych, perwersyjnie zdeprawowanych, które dążą świadomie do zniszczenia dzieła Bożego i wtrącenia ludzkości w ponowny upadek moralny, podobny temu, jaki już raz się odbył w zamierzchłej przeszłości. Metodą „zgraji tajemniczej", konspirującej w swych związkach tajemnych, jest postępowe i systematyczne m i e s z a n i e P r a w d y i D o b r a, coraz to przewrotniejsze, aż do kompletnego chaosu pojęć i norm etycznych, którego następstwem są: permanentne wrzenie rewolucyjne nihilizacja wszystkich wartości stworzonych przez ludzkość w historji, a wreszcie ustanowienie owej piekielnej „réalité du desordre", która jako idea Zła absolutnego, oznacza rozkosz sataniczną samozniszczenia.

Wroński widział ostateczny ratunek przed taką zagładą ludzkości w potężnych energjach konstruktywnych, drzemiących w narodach Europy środkowo-wschodniej, szczególnie w Słowiańszczyźnie i Rosji, jako największem imperjum słowiańskiem. „Tak więc, niema już zbawienia dla ludzkości, jak tylko na Wschodzie". („Cent pages", s. 99). Obawiał się jednak, by wrazie wybuchu wojny europejskiej, którą przewidywał, Rosja nie wdała się w walkę, gdyż wówczas ideje rewolucyjne Zachodu rozszerzą się jak zaraza w masach rosyjskich, i Rosja sama zacznie wciągać ludzkość w otchłań przepaścistą swej katastrofy moralnej[1]). Była to, w jego mniemaniu, najprzeraźliwsza perspektywa przyszłości, z jakiej niema już chyba wybawienia. Co wtedy? Wroński doszedł do przeświadczenia, pod koniec swego życia, że ostateczny los tego globu zależeć będzie od Polski, która stanie się w tych beznadziejnych czasach apolikaptycznych przełamań „schroniskiem opatrznościowem ludzkości".

Dziś to najstraszniejsze, co Wroński przewidywał, jest już faktem dokonanym. Posłannictwo dziejowe Rosji leży w gruzach, komunizm tryumfuje i widmo Kremla jawi się coraz groźniej, choć pod różnemi maskami, w stolicach Europy. Świat asymiluje się, przyzwyczaja do wizji demonicznej „ludzkości bez Boga", urzeczywistnionej w Sowietach. Czerwona Rosja dominuje dziś nad europejską (i światową) problematyką socjalną i polityczną, kieruje za pośrednictwem Kominternu całym frontem lewym — od socjalizmu i masonerii do komunizmu i różnych jego humanitarystyczno-pacyfistycznych przebudówek — ingerując bezpośrednio w sprawy wewnętrzne wszystkich niemal narodów i państw kontynentu. W dodatku zaś rzekomy ratunek przed komuną: faszyzm i hitlerowski rasizm, nie jest bynajmniej tem za co się go potocznie uważa, lecz dalszem pogłębieniem katastrofy, djalektycznem przeciw-rozwinięciem tejsamej idei Zła, której rewelacja dziejową jest markso-leninowski a n t y c h r y s t j a n i z m.

W takiej konjunkturze, jedyną drogą ocalenia i obowiązkiem zarazem tych, co nie zwątpili jeszcze w ludzkość jest: 1.) poznanie dokładne i wnikliwe całokształtu tego fenomenu historycznego, jakim jest komunizm i jego konsekwencje, i 2.) wytworzenie zorganizowanego systemu prawd i metod doktryny jakiejś, i zbrojnej w nią siły rozumnej, którąby potrafiła zło to zdemaskować i zniszczyć, skierowując ludzkość na tor postępu prawdziwego ku jej rzeczywistości absolutnej.

Jak odróżnić kłamstwo od prawdy

Książki o komuniźmie, napisane przez Rosjan, są specjalnie interesującym materjałem dla badań nad tem zjawiskiem, raz dlatego, że prawda tego wstrząsu dziejowego została przez nich przeżyta bezpośrednio, powtóre zaś ze względu na specyficzność ducha rosyjskiego, skłonnego rozważać świat w tym aspekcie eschatologicznym, bez którego trudno zrozumieć genezę i istotę demoniczną rewolucji bolszewickiej.

Książka Bierdiajewa[2]) „Wahrheit und Lüge des Kommunismus" jest właśnie taką ambitną próbą wytłomaczenia natury demonicznej i eschatologicznej komunizmu na tle epoki. Nie jest to pewna usystematyzowana filozofja (krytyka) zła społecznego, jak się ono reweluje w marksoleniniźmie, raczej essay filozoficzno - publicystyczny. Materjały jednak do ustanowienia takiej doktryny znajdujemy w niej obfite. Książka działa pobudzająco, dając czytelnikowi impuls do samodzielnego podejmowania wątków w niej zawartych i konstruowania własnych, dalej idących wniosków.

Bierdiajew wychodzi z założenia, że Europa nie wie właściwie nic o istocie rewolucji rosyjskiej, że ją banalizuje, odproblemia, ujmuje od strony najbardziej powierzchownej. Ekonomiczne i polityczne jej motywy uważa on za drugorzędne: essencja jej jest fenomenem natury religijnej, zrodzonym w tych warstwach najgłębszych jaźni ludzkiej, gdzie jawią się skłębione w demonicznej walce pierwiastki metafizyczne zła i dobra.

Postawa samego Bierdiajewa w stosunku do omawianego zjawiska ujawnia zaraz na wstępie znamienną obsesję duszy rosyjskiej: Chrystus czy Antychryst? Ten tragiczny znak zapytania unosi się nad całą literaturą i filozofją rosyjską; jestto trawiący, ukrywany lęk przed najstraszniejszą omyłką. Jak rozpoznać, jak odróżnić te dwa oblicza, tam na wyżynach, gdzie zło i dobro kompenetrują się wzajemnie, i gdzie *monstrum absolutne* z powodzeniem udaje Boga? Przeczucie to Antychrysta, połączone z rozpaczliwym wysiłkiem uratowania duszy własnej dla jej przeznaczeń boskich, odsłania nam bezlitosną przebiegłość Fatum, które nigdy nie chybia celu. W trwodze przed omyłką, w krucjacie swej przeciwko znienawidzonym widmom Antychrysta, zabrnęła eschatologiczna wola rosyjska właśnie w to zło niepowrotne, którego się tak strzegła.

A. Teza podstawowa

Pojawienie się komunizmu jest — według Bierdiajewa — wynikiem niespełnienia chrystjanizmu w życiu społecznem ludzkości. Bezsilność, terrestryzacja, retoryczność, mieszczańska małość obecnego chrystjanizmu zrobiła miejsce idei komunistycznej. Komunizm oskarża chrześcijaństwo samem swojem istnieniem, staje się narzędziem sądu.

Komunizm wyzyskał potężne energje moralne, nagromadzone — a niezaspokojone — przez chrześcijaństwo. To tłumaczy jego szybkie zwycięstwo, zwłaszcza w Rosji, gdzie problem miłości bliźniego był dla dusz ludzkich czemś szczególnie dręczącem i gdzie pęd do spełnienia eschatologicznego postulatów moralnych chrystjanizmu oddawna się był rozwinął.

W komuniźmie prawda i kłamstwa mieszają się tak, że trudno je odróżnić. To tłómaczy jego atrakcyjność, bo negacja jego zasad jest trudna. W komuniźmie jest wiele prawd, a tylko jedno kłamstwo; ale to jedno kłamstwo niweczy i odwartościowuje wszystkie jego prawdy. Aby przezwyciężyć komunizm, trzeba wprzód poznać i uznać jego prawdy (Sołowjew).

B. Rozwinięcie

I. Prawdy komunizmu są następujące: a) społeczeństwo gruntuje się na pracy, b) wyzysk człowieka przez człowieka nie może się ostać, c) klasy społeczne muszą być zamienione na zawody produkcyjne w solidarystycznem społeczeństwie bezklasowem, d) polityka musi służyć potrzebom i celom ekonomicznym ludzi (realizm socjalny w miejsce formalizmu dotychczasowej demokracji), e) teorja i praktyka stanowią jednię nierozerwalną (konieczna łączność elity duchowej z życiem socjalnem mas i jego potrzebami, w imię organicznej ,totalnej ideji społeczeństwa), f) nacjonalizm (egoizm narodowy), przyczyna wojen i zamętu, musi być przezwyciężony i zastąpiony przez międzynarodową organizację ludzkości.

Tak pojęty komunizm ma prawo do walki ze staremi formami w imię realizacji swego własnego modelu świata. Negacja istniejącego, a affirmacja tego, czego jeszcze niema, a co być powinno, wyznacza postawę dynamiczną, rewolucyjną i konstruktywną komunizmu. Świat pojęty jest jako *zadanie powszechne*, dzieło tworzone przez zbiorowy rozum wolnej, samookreślającej się ludzkości. Życie, to poprostu służba temu celowi końcowemu ludzkości. Taka koncepcja oznacza likwidację życia prywatnego, tak charakterystycznego dla burżuazji mieszczańskiej. Walor ma tylko ta jednostka, która pełni służbę w ramach swego zadania powszechnego. Wszyscy zostają pociągnięci (dobrowolnie lub przymusowo) do świadomej budowy nowego świata. Wszystkie dawne formy i determinanty świata są odrzucone bezpowrotnie, wola ludzka nie ma ograniczeń i zewnętrznych uwarunkowań, świat jest plastyczny i może być dowolnie przez człowieka (ludzkość) kształtowany. Stąd wynika nowe sformułowanie pojęcia wolności: w świecie burżuazyjnym wolność, jest to ustrój gwarantujący jednostce i społeczeństwu status quo, ochronę przed rewolucyjnemi zmianami, w świecie komunistycznym wolność, jest to potencjalność realizacji wszystkiego, co tylko zamierzy rozum ludzki.

[Tu odrazu uwagi krytyczne: Z wyliczonych „prawd" komunizmu, trzy są niezupełnemi prawdami: 1) Praca jest elementem podstawowym społeczeństwa *gospodarczego*, t. j. oparcia człowieka w bycie (autotezji ludzkiej), ale już dla społeczeństwa *hyperfizycznego* (homo intellectualis) wyznacznikiem *nie* jest praca, lecz czynność twórcza bezinteresowna, wolna samorzutność rozumu (autogenja ludzka). Zrozumiał to Norwid, rozróżniając „pracę" i „sztukę", jako dwie kategorje podstawowe prometeizmu ludzkiego w historji; niebezpieczeństwo widział tylko w separacji wzajemnej dwu wielkich odłamów społeczeństwa: mas pracowniczych i elity kulturotwórczej, marząc o ich sharmonizowaniu (dzieje jako „misterjum sztuki-pracy"). Pozatem komunizm teoretyczny prymitywizuje ideję pracy, przyjmując ją dogmatycznie za ostateczną *daność*, dalej już niesprowadzalną. Czem jest w istocie praca, jako kategorja metafizyczna, zrozumiał bodaj-że jeden tylko Brzozowski; lekcje jego filozofji pracy przydałyby się komunistom. Wroński, w swej ekonomji dynamicznej definitywnie wyjaśnił genezę biologiczną i psychologiczną pracy, oraz walor właściwy pracy, czysto *względny* w stosunku do celów absolutnych ludzkości. — 2) Podporządkowanie polityki celom ekonomicznym jest kardynalnym błędem, który spowodował właśnie zamęt katastrofalny w ustroju socjalnym. Polityka ma cele moralne, jest ona kierownictwem praktycznem ludzkości ku jej przeznaczeniom absolutnym na ziemi; terenem jej jest państwo, zrzeszenie prawno-etyczne, oraz problemat nadrzędny związku federalnego między państwami. To rozróżnienie celu fizycznego, któremu służy ekonomja, od celu hyperfizycznego, dla którego powstały: państwo i kościół, czyli *ład moralny* ludzkości, ma walor aksjomatu i kryterjum nieomylnego. — 3) Komunizm nie rozumie istoty i racji bytu *narodów* w historji. Myśliciele polscy bodaj-że pierwsi pojęli ten nowy i mglisty jeszcze problemat; oni też pierwsi stworzyli filozofję narodu. Naród jest w stosunku do dotychczasowych formacyj socjalnych: rodziny, rodu, ludu, klasy (kasty) społecznej, całostką nadrzędną. Kształtowanie się narodów, jako rzeczywistych podmiotów historji, zaczęło się właśnie dopiero w wieku XIX-tym; ich samopoznawanie się nie jest jeszcze procesem sfinalizowanym, stąd naiwne i chaotyczne erupcje zoologicznych egoizmów narodowych. Narody odczuwają swe powołanie do zadań nowych, dotąd niewykrystalizowanych, dlatego wyłamują się z ram społeczności globowej, szukając *absolutu* w samych sobie. Nie odnalazły jeszcze swej racji prawnej, którą jest *posłanniczość,* czyli moralność absolutna, transcendująca ponad dotychczasowy ideał moralności względnej, usystematyzowany przez Kanta w doktrynie imperatywu kategorycznego. Rzecz w tem, że międzynarodowa organizacja ludzkości nie może się dokonać przez przezwyciężenie odrębności narodowych (likwidację nacji), jak sądzi komunizm, lecz tylko przez samorzutną unję pomiędzy narodami, dla wspólnej realizacji celu końcowego ludzkości; metodą i narzędziem takiej unji winien być *podział przeznaczeń* (misyj poszczególnych) pomiędzy narody].

II. Kłamstwo komunizmu jest tylko jedno — w ujęciu Bierdiajewa — a mianowicie: *zaprzeczenie ducha,* zasady duchowej. Jego implikacje są następujące: a) *zaprzeczenie Boga* i świata nadprzyrodzonego (antyteizm), b) *zaprzeczenie człowieka,* czyli osobowości ludzkiej „na obraz i podobieństwo Boże" (antyhumanizm), c) *zaprzeczenie bogo-człowieczeństwa,* czyli Chrystusowego mitu teoandrycznego, postulującego harmonję przedustanowioną i związek bezpośredni świata ludzkiego i boskiego (anty-chrystyzm). Wszystkie te trzy negacje są sprowadzalne do jednej podstawowej, neutralizującej je w sobie, która mieści się w pojęciu: *antychrystjanizm.*

W miejsce mitu bogoczłowieczego postawiony zostaje kolektyw, społeczność ubóstwiona. Jest to prawdziwa rzeczywistość: absolut, którego immanentnym zjawem jest *proletarjat,* istność bezosobowa, której świadomość zbiorowa = prawda absolutna. Oto rdzeń mistyki kolektywu, obnażającej fałsz rzekomego racjonalizmu utopji komunistycznej. Absolut to TAJEMNICA, niepojęta dla nie-proletarjusza. Jedynie proletarjusz może dotknąć jej bezpośrednio, jako komórka składowa i uczestnik tego monstrum irracjonalnego, dostępnego istotom ludzkim tylko w jakiejś mistycznej komunji kolektywu. W dodatku, jak to słusznie konstatuje Bierdiajew, proletarjat w rzeczywistości *nie istnieje,* jest tylko fikcją, wymyśloną przez Marksa. Realną jest klasa robotnicza, której Marks każe rozbudzić w sobie dopiero poczucie i świadomość *proletaryzmu.* Robotnik powinien czuć się proletarjuszem, czyli istotą upośledzoną, ofiarą krzywdy, zbuntowaną przeciwko Bogu, historji i wszystkim, którzy nie są proletarjuszami. W ten sposób dopiero narodzić się ma w świadomości mas owo monstrum niewysławialne: proletarjat.

Tu oto uczuciowy odpowiednik zaprzeczenia ducha (czyli *dobrej zasady — przyp. mój): nienawiść.* Naturalnem przeciwieństwem djalektycznem zasady miłości jest zasada nienawiści; konsekwentnie też komunizm ugruntowuje się na tej zasadzie. Jej implikacje są następujące: a) realizacja „dobra" przez *zło* (vide: Marks i jego koncepcja walki klas, gdzie zło zostaje otwarcie usankcjonowane), b) obudzenie uczuć nienawiści, krzywdy i zemsty, c) zasada gwałtu, czyli działania przez przymus: rewolucja permanentna (vide: Sorel „Reflexions sur la violence" i Lenin: „Państwo proletarjatu jest to gwałt zorganizowany" — *przyp. mój).*

Tak usystematyzowany komunizm, w swem pomieszaniu kłamstwa i prawdy, ustanawiającem zorganizowany antychrystjanizm, staje się doktryną, aspirującą do powszechności, rozciągającą się na wszystkie dziedziny życia, nietylko na sferę ekonomji i polityki. Stąd siła propagacyjna komunizmu. Pojawia się on jako *nowa religja,* fanatycznie likwidująca wszystkie inne wierzenia. Nie chce on przekonywać, lecz przymuszać. Ogłasza dogmaty, wobec których wszelki krytycyzm jest wykluczony. Przedrzeźnia świadomie chrześcijaństwo, ma swe herezje, inkwizycję, egzegezę tekstów uświęconych.

C. Wniosek końcowy

Świat stoi na rozdrożu, pomiędzy Chrystusem a Antychrystem. Obecny typ chrystjanizmu nie potrafi absolutnie przezwyciężyć komunizmu. Mieszczański, burżuazyjny chrystjanizm, wyzuty jest z wszelkiej dynamiki, polega na kłamliwej retoryce i utajonym kompromisie z doczesnością. Czasy świętych i męczenników chrześcijańskich należą do przeszłości. Komunizm z większą siłą odwołuje się do poświęcenia i heroizmu duszy ludzkiej, wydaje własnych męczenników i „świętych", reprezentuje potężną moc atrakcyjną dla rozbudzonych mas i dla czynnej, aktywnej woli twórczej ludzi współczesnych. Przytem zadanie jego jest łatwiejsze: nie postuluje odrodzenia skażonej przez grzech natury ludzkiej, nie ukazuje trudnej drogi walki ze zwierzęcością i złem w duszy, przeciwnie zwierzęcość tą i zło affirmuje.

Sytuacja wygląda tak: Ponieważ chrystjanizm nie wykorzenił zła społecznego i nie zrealizował „Królestwa Bożego na ziemi" w ciągu 20 wieków swego istnienia, demoniczne siły zła podjęły same to żądanie, wykonując je oczywiście à rebours. Chrześcijanie współcześni stoją w obliczu komunizmu, jako zdrajcy prawdy wiecznej na rzecz doczesności, jako winowajcy, którzy tę prawdę wieczną przemilczeli, skazili, odwartościowali.

Tylko potężny nawrót do prawdziwej problematyki transcendentnej chrystjanizmu, tylko czynna walka o człowieka „na obraz i podobieństwo Boże", czyli integralny *chrystjanizm spełniony,* może dziś przezwyciężyć komunizm i uratować świat.

Tak sformułowana idea podstawowa książki Bierdiajewa nie nasuwa żadnych zastrzeżeń, prócz jednego zasadniczego pytania: *Jak ma wyglądać ten nowy, spełniony chrystjanizm, zdopingowany do działania przez zorganizowany mit antychrystowy?* Myślę, że Bierdiajew nie potrafi dać wyraźnej odpowiedzi na to pytanie. Zresztą, byłoby to nawet niepotrzebne, gdyż doktryna, cel i środki chrystjanizmu spełnionego, czyli *mesjanizmu,* zostały dane w postaci wyczerpującej przez filozofję polską, w szczególności przez filozofję absolutną Hoene-Wrońskiego. Zadziwiająca jest ta zbieżność opatrznościowa, z jaką historja, pozwalając na apokaliptyczny tryumf zła w rewolucji, powołała jednocześnie, tuż za kordonem tej rewolucji, potężny tryumf rozumu stwórczego, w postaci kreacji polskiego *parakletyzmu mesjanicznego.* Otóż przypominam, że zbieżność ta została już 100 lat temu usystematyzowana przez Wrońskiego w jego Filozofji Historji (patrz: „Apodictique", Prototyp Stworzenia Wszechświata, Rząd VII, s. 49); znajdujemy tam, w części technicznej, następujący ustęp:

„b 4) *Fakty rozumowe, które będą spełnione* w tej erze krytycznej, jako przeciwstawienie *zgubne,* oraz przygotowanie *zbawcze* do ery następnej.

a 5) Fakty *zgubne;* unicestwienie praw moralnych aż do wygaśnięcia ideji czystej ich *pochodzenia boskiego;* zasada wyłącznej suwerenności ludu, czyli prawa ludzkiego; odtworzenie *ideji absolutnej zła* = NOWY UPADEK MORALNY CZŁOWIEKA.

b 5) Fakty *zbawcze;* wyłamanie się rozumu ludzkiego z jego obecnych warunków fizycznych ziemskich = Spełnienie przeznaczeń względnych ludzkości (relatywnych do jej więzów ziemskich) = MESJANICZNOŚĆ.

a 6) *Powrót* do stanu *pierwotnego* czystości moralnej (t. j takiego, jaki był niegdyś, przed pierwszym upadkiem moralnym ludzkości — *przyp. mój),* zapomocą *czynności autotelicznej* człowieka, tworzącej element *praktyczny* mesjaniczności = REHABILITACJA MORALNA (jako warunek *odrodzenia duchowego).*

a 7) Rehabilitacja *subjektywna* = ŚWIADOMOŚĆ SŁOWA w człowieku[3])

b 7) Rehabilitacja *objektywna* = UZNANIE PRZEZNACZEŃ ABSOLUTNYCH (czyli transcendentnych do życia ziemskiego — *przyp. mój)* ludzkości.

b 6) Przygotowanie do stanu *końcowego* nieśmiertelności przez pojęcie *celu autonomicznego,* tworzące element *spekulatywny mesjaniczności* = ROZWÓJ ROZUMU ABSOLTNEGO[4]) (jako warunek *stworzenia duchowego).*

a 7)Rozwój *subjektywny* (rozumu absolutnego); ustalenie cech niewarunkowych *prawdy absolutnej* i *dobra absolutnego* = REALIZACJA PRAWA POSTĘPU.

b 7) Rozwój *objektywny;* ustalenie cech niewarunkowych *generacji absolutnej wszystkich rzeczywistości* = USTANOWIENIE PRAWA STWORZENIA".

Pozostawiam jednak narazie na uboczu zagadnienie chrystjanizmu spełnionego, czy też wogóle sposobu przezwyciężenia komunizmu, przechodząc do rozpatrzenia szczegółowych uzasadnień tezy podstawowej książki Bierdiajewa. Zaznaczam przytem, że — dla przejrzystości obrazu — systematyzuję i architektonizuję treść tej książki, będącej w istocie zbiorem luźnych dywagacyj, a nie jakimś całokształtem wykończonym.

W opisie analitycznym komunizmu jako fenomenu metafizycznego i historycznego, jaki daje Bierdiajew, można wyróżnić trzy stopnie genetyczne: socjalizm Marksa, socjalizm rosyjski i wreszcie markso - leninowski komunizm. W ujęciu Bierdiajewa komunizm marksowski, czyli „religja proletarjatu", oraz komunizm mesjanistyczny rosyjski, oparty na ideji centralnej: ludzkości bez Boga, rozwijały się zrazu oddzielnie, na mocy własnej djalektyki ewolucyjnej; jednakże były one predestynowane a priori do wzajemnej, organicznej symbiozy. Stopniowo splotły się one ze sobą tak silnie, że z połączenia ich zrodził się fenomen trzeci: markso-leninizm, który góruje nad obydwoma zarówno stopniem osiągniętej abstrakcji, jak i nasileniem konkretyzacji historycznej.

Bierdiajew stawia pytanie: dlaczego właśnie Rosja przyjęła i przeżyła tak dogłębnie marksowski komunizm, wcielając w siebie owo irracjonalne monstrum metafizyczne? Odpowiedź wyglądałaby — na tle całokształtu jego książki — następująco: Postawą najpierwotniejszą duszy rosyjskiej („kompleksem", najgłębiej zakorzenionym w podświadomości — jakby powiedział Freud) było PRZECZUCIE ANTYCHRYSTA; zaś marksowski komunizm przyszedł do Rosji jako doktryna zdecydowanego przeciwieństwa djalektycznego religji Chrystusowej: ANTY-CHRYSTJANIZM. Powodzenie jego było tu więc zapewnione zgóry. Zkolei tryumf antychrystyzmu na ziemiach rosyjskiej Eurazji zdezaktualizował odnośne charaktery indywidualne marksizmu i rosyjskiego ateizmu. Mit panowania proletarjatu i mit ludzkości bez Boga został zasadniczo zrealizowany. Problematem stało się co innego: zachowanie i rozpowszechnienie tej nowej monstrualnej rzeczywistości, tak niespodzianie wcielonej na tym globie. Oto geneza GENERALNEJ LINJI markso-leninizmu, będącej właściwie próbą uniwersalizacji komunizmu.

Ale Bierdiajew nie zatrzymuje się na tem, dołączając w części dodatkowej swej książki głębokie rozważania na temat całego obecnego przesilenia cywilizacji, które wydaje mu się być związane ściśle z zagadnieniem techniki i maszynizacji. Gdyby nie było maszynizacji, nie byłoby i antychrystyzmu. Nie znaczy to, by Bierdiajew odrzucał technikę i jej zdobycze, przeciwnie, on ją affirmuje. Twierdzi tylko, że na niej to potknął się „homo sapiens", ulegając czarowi stworzonego przez siebie dzieła. Maszyna zasuggerowała człowiekowi świat bez Boga i bez osobowości ludzkiej. Tu oto problemat HOMUNCULUSA.

W dalszym ciągu przejdę do tych czterech kondygnacyj „upadku człowieka", naszkicowanych w książce Bierdiajewa.

(c. d. n.) *Jerzy Braun.*

---

[1]) Patrz „List do ks. Czartoryskiego".

[2]) Nikolai Berdiajew: Wahrheit und Lüge des Kommunismus. Mit einem Anhang: Der Mensch und die Technik. Deutsch von J. Schor, Luzern 1934 „Vita Nova" — Olg. S. 135.

[3]) Wskazałem swego czasu, w cyklu artykułów o polskim mesjanicznym romantyźmie w „Gazecie Literackiej", że ideą ośrodkową wszystkich polskich systemów filozoficznych, jak również kreacyj t. zw. „poezji wieszczej", jest odkrycie Słowa w człowieku, analogicznego do Słowa w Bogu-człowieku, objawionego przez chrystjanizm („omnis christianus Christus est"), (czyli mocowładności stwórczej — *przyp. mój).*

[4]) Do tego odnosi Wroński alegorję *„Dziewicy, która zdepce głowę węża".*

Numer niniejszy

ukazuje się z kilkudniowem opóźnieniem z powodu powszechnego strajku drukarskiego w Warszawie

W odpowiedzi na odpowiedź

(Polemika z K. Régameyem)

W odpowiedzi swej na mój artykuł p. t. „Czy upadek muzyki?“, umieszczonej w n-rze 17 Zetu, p. Konstanty Regamey, nie negując w zasadzie trafności mojego zobrazowania krytycznej sytuacji panującej w muzyce współczesnej, uważa jednak, że wnioski moje, choć z trafnych spostrzeżeń wysnute, są błędne, bo zbyt ogólne, że „całe zagadnienie jest niesłusznie uogólnione na szerszy zakres faktów, niż należy“. Mój polemista uważa, że z tych samych faktów można wysnuć inne, mniej pesymistyczne wnioski, które też formułuje. Twierdzenia jego są mniej ogólne, bardziej rzeczowe od moich, a przytem są pozytywne, co zawsze budzi większe zaufanie, niż czysta negacja. Pewna ogólnikowość i ramowość moich wywodów pochodziła może stąd, że nie chciałem artykułu, umieszczonego w piśmie niemuzycznem, przeciążać „fachowością“ muzyczną. Temniemniej, dla obrony swych tez, gotów jestem moje „szkieletowe“ wywody wypełnić nieco „ciałem“ muzycznem. Czynię to oczywista nie poto, aby „moje było na wierzchu“, ale dla jaśniejszego przedstawienia swych poglądów i postawienia sprawy na płaszczyźnie, o którą mi najbardziej chodzi.

*

Pomijam pierwszą część artykułu p. Regamey'a, w której pewne ujemne symptomy współczesnej muzyki stwierdzone przezemnie, kładzie on na karb niezdrowego ducha „sportowo-reklamiarskiego“, gorączkowego tempa, zmaterjalizowania i tp. cech współczesnego życia. Spraw tych nie poruszałem (co zresztą mój rozmówca lojalnie stwierdza), gdyż chcę utrzymać zagadnienie w płaszczyźnie procesów wewnętrzno-muzycznych, a wiązanie przejawów życia zewnętrznego z muzyką, przez doszukiwanie się analogij i paralelizmów, uważam zawsze za rzecz bardzo ryzykowną. Otóż przechodzę do rzeczy. Centralne twierdzenie moje (którego centralność może za mało uwypukliłem w poprzednim artykule) brzmi następująco: w naszej epoce muzycznej (mam na myśli muzykę europejską, od czasu utrwalenia się systemu „dur“ i „moll“) do dnia dzisiejszego, panują te same prawa słuchania muzyki, te same zasady reakcji wrażeniowej na muzyczne kontrasty, te same normy wartościowania estetycznego. Wiemy, że były epoki, gdy słuchano i słyszano inaczej (np. polifonja linearna w „średniowieczu“ muzycznem) i do utworów muzycznych z tych okresów nie mamy dziś „klucza“ estetycznego. Otóż twierdzę, że pomimo modnych dzisiaj frazesów o „przemianie smaku“ i „przewartościowaniu wartości“ w muzyce współczesnej, prawa słyszenia, prawa odczuwania i prawa reakcji muzycznej pozostały te same i ulega im oraz stosuje się do nich również muzyka nowoczesna, nawet najbardziej radykalna. Owszem, jest przemiana smaku, ale odbywa się ona w kategorjach *ilościowych,* nie *jakościowych* (właściwie jest to raczej przemiana wrażliwości). Żeby nie mówić o czemś niejasnem, sformułuję pokrótce te prawa. Nie sprowadzam ich jedynie do systemu „dur“ i „moll“, jak zdaje się przypuszczać p. Regamey, lecz formułuję je ogólniej. Są one następujące:

1) słyszenie pionowe, homofoniczne (a więc nie linearne);

2) rozróżnienie konsonansu i dyssonansu, jako odrębnych wartości wrażeniowych, wartościowanie estetyczne ich wzajemnego ustosunkowania;

3) odczuwanie potrzeby wzajemnego ustosunkowania współbrzmień, ich ciążenia ku sobie (to muzyczne prawo ciążenia najprościej zostało sformułowane przez system funkcyj harmonicznych TDS).

To są, według mnie, najogólniejsze prawa, które do dziś panują w muzyce. Jeśli nawet najbardziej radykalny i pozornie nowym językiem przemawiający utwór nie robi na nas jednak wrażenia chaosu, lecz zdaje się mieć swoją organizację, to po bliższej analizie napewno okaże się, iż organizacja ta wywodzi się z tych samych praw ładu, które rządziły dawniej. Z nutami w ręku udowodnię każdemu, że tak pozornie atonalny utwór, jak I-szy koncert skrzypcowy Szymanowskiego nie obala bynajmniej praw muzycznego ciążenia (jakby toniki), tylko na krótszych odcinkach. Tak piękny utwór współczesny, jak III-ci koncert fortepianowy Prokoffjewa (c-dur) wyzyskuje najróżniejsze wyrafinowane efekty i kontrasty harmoniczne, oparte właśnie na naszem poczuciu tonalności (np. niespodziewane przejścia harmoniczne w warjacjach). A tam nawet, gdzie się muzyka współczesna (poza Schönbergiem zwykle jedynie fragmentarycznie) poczuwa do skrajnego atonalizmu czy linearyzmu, do całkowitej negacji praw muzyki dawnej, to osiąga skutek wrażeniowy, jedynie dzięki kontrastowi *z temi prawami.* Ktoś, kto chcąc zaimponować ludziom, łamie prawa, uważając, że w ten sposób sprawi tym ludziom rzeczywiście silne wrażenie, ten (nieświadomie może) uznaje te prawa za panujące, uznaje ich atrakcyjność, wychodzi z założenia, że poczucie prawa jest czemś silnie zakorzenionem. P. Regamey powie, że nikt nie chce obalać samej zasady organizacji tonalnej, tego muzycznego prawa ciążenia, bo to byłoby niemożliwe. ale idzie o stworzenie „nowych tonacyj“, innych systemów tonalnych, słowem — o nowe prawa ciążenia. Otóż, właśnie w tem rzecz, że nikt dotąd *nowych* praw tonalnych nie wymyślił, że wogóle nie potrafimy przy naszym sposobie słuchania ich sobie wyobrazić (nie możemy sobie n. p. wyobrazić innych współzależności między akordami, niż te, które są określone przez funkcje TDS i do tych funkcyj sprowadzić się da słuchowo każde, nawet pozornie najdalsze od nich połączenie współbrzmień, o ile wogóle wykazuje on jakieś ciążenie).

Słowem, ja nie zarzucam bynajmniej muzyce współczesnej, że obaliła dawne prawa organizacji muzycznej; wprost przeciwnie — zarzucam jej, że *nie potrafiła* tych praw obalić i stworzyć nowych, własnych, że używała *tych samych* praw wrażeniowo-estetycznych, lecz przez rabunkową gospodarkę (ewolucja ilościowa, o której dużo pisałem) — atrakcyjność tych praw *wyczerpała.*

Człowiekiem, który chciał się temu stanowi rzeczy przeciwstawić, który chciał zerwać tę zależność od dawnych praw, który chciał stworzyć prawa nowe, samoistne, zmieniające sposób słuchania i reagowania od podstaw — był Schönberg, lecz Schönberg (jak to wykazuje p. Regamey) uwikłał się we własne sprzeczności, a przytem nie rozumie on, że ewolucja sposobu słuchania jeszcze nie nastąpiła, że nie nastąpi ona odrazu, lecz stopniowo i że o jej kierunku nie może przesądzać jeden człowiek. Toteż rezultatem jego działalności (płynącej jednak z bardzo dla mnie zrozumiałych i poniekąd bliskich pobudek) — było fiasko artystyczne. Jeśli idzie o twórczość Albana Berga, na którą powołuje się p. Regamey, niestety, nie miałem okazji się z nią zapoznać.

*

Na zakończenie, chciałbym omówić sprawę kierunku młodych twórców dzisiaj. P. Regamey mówi, że sytuacja ich wcale nie jest taka zła. Nikt im nie każe brać udziału w pogoni za „nowością“, za „radykalizmem“ w ewolucji „ilościowej“. Mogą określić sobie swój własny świat środków, „własną rzeczywistość“ i w tym świecie ekonomicznie gospodarować. Przykład— nb. świetnie dobrany — Maciejewski. Nie jest to myśl dla mnie nowa. Po długich, a jałowych dyskusjach nad dalszemi drogami muzyki, dochodziłem zawsze do wniosku, że jedyną dziś postawą, jedyną drogą dla prawdziwego talentu jest stworzyć własny świat środków, własne normy estetyczne, własny pieniądz, a już rzeczą talentu jest zmusić słuchacza do uznania wartości tego pieniądza, tych norm, ażeby one (cytuję Regamey'a) „ ...zostały podane z takim talentem, z taką sugestywnością. aby słuchacz, chociażby... nieświadomie je jako normy wyczuł“. Koncepcja ta opiera się na znanem zjawisku; jako przykład tego zjawiska podać można fakt, że słuchając dziś IX-ej symfonji Beethovena, wstrząśnięci zostajemy gwałtownym dyssonansem, choć o wiele ostrzejszych dyssonansów u Strawińskiego wysłuchamy, nie mrugnąwszy okiem. Poprostu wcieliliśmy się w świat środków Beethovena, uznaliśmy na czas trwania utworu beethovenowską walutę (podobne przykłady podaje Regamey z twórczości Bacha i Mozarta — nb. stanowią one jeszcze jeden kapitalny argument za stwierdzeniem o niezmienności praw wrażeniowych epoki — bo np. wcielić się w świat środków średniowiecznych linearystów dziś nie potrafimy).

Ta opisana przez p. Regamey'a droga wyjścia dla młodych kompozytorów, polegająca na tem, że z niekoniecznie nowych elementów budują oni nowe, własne systemy wrażeniowe (na tąż drogę wstąpił jeden z najzdolniejszych kompozytorów młodego pokolenia, Lutosławski w swej sonacie fortepianowej), otóż droga ta, choć jedyna, ma w sobie coś schyłkowego. Jakże daleko jej do uczciwej postawy dawnych mistrzów, tworzących w uniwersalnym języku, lub do postawy wielkich nowatorów, odkrywających nowe, nieznane dotąd, środki. Ta dzisiejsza droga ma w sobie coś z przemyślnego kompromisu, to stanowisko „łatane“. Sam Maciejewski, który intuicją żywiołowego talentu wiedziony, wstąpił na tę drogę, miał świadomość owej niemożności posiadania „uczciwego“ stanowiska twórczego w dzisiejszym, paradoksalnym kryzysie środków. Żyjemy w okresie, gdy jedne prawa się wyczerpały, a inne są już może w zarodku, ale my z nich jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, jeszcze ich nie widzimy. Stanęliśmy przed murem, ale mur można i trzeba obejść. Tylko nie wiemy, którą stroną, więc, zamiast kroczyć śmiało, jak dawniej, musimy się zatrzymywać, namyślać i próbować. I diatego postawa młodych jest kompromisowa, „łatana“ i trudna. Nie jestem pesymistą*) na dalszą metę; wraz z wielu innymi wierzę, że nastąpi nowa epoka, nowe sposoby słyszenia i odczuwania muzyki i nowe wzloty twórcze. (Nb. znam wielu ludzi, którzy „prorokują“, że ewolucja słuchu pójdzie w kierunku linearyzmu). Ale to nie zmienia faktu, że my żyjemy w najtrudniejszym dla twórczości okresie — w okresie przejściowym.

Stefan Kisielewski.

*) Pesymistą jestem jedynie z punktu widzenia epoki systemu totalnego, uważam, że w ramach dotąd obowiązującego „prawodawstwa“ muzycznego, środki wyrazu istotnie zostały wyczerpane, co nie przeszkadza, że przy nowym systemie „prawnym“ pojawią się nowe środki. Ale na to trzeba ten nowy system stworzyć, a tego nie dokona się odrazu.

Z listów Francis Warrain'a

Czytelnicy *Zetu* dobrze znają nazwisko Francis Warraina. Jest to najwybitniejszy bodaj ze współczesnych myślicieli francuskich, doskonały znawca i szerzyciel filozofji Wrońskiego. Mam zaszczyt i przyjemność od kilku lat z nim korespondować. Z jego upoważnienia podam czytelnikom naszego pisma niektóre wyjątki — w przekładzie na język polski — z jego listów filozoficznych.

(Prosiłem p. Warraina o bliższe wyjaśnienia co do jego koncepcji *materji.* Oto jego odpowiedź).

F. W.: Uważając, że idea materji powstaje z przeszkód, które zatrzymują bądź naszą percepcję, bądź nasz ruch, pojmuję materję pierwszą jako czysto względną do istot obdarzonych poznaniem i działaniem, czyli do istot w pewnym sensie duchowych. Toteż dla mnie materja pierwsza jest sama w sobie niczem; to granica zmienna i względna, którą obwarowują się duchy, nie chcące czy nie mogące przenikać się nawzajem myślą lub miłością. Stąd zmienność, zależna całkowicie od działań pomiędzy duchami. Każdy duch uważa tę zmienność za rzutowaną poza siebie samego: oto źródło idei przestrzeni, a może również i czasu. Jest to materia prima scholastyków, *hyle,* nie będąca ani ilością ani jakością etc.; czysta funkcja, wynikła z działań duchowych: ich nieprzenikliwość. Ta materja jest tem, co Wroński zwie *nicością* i przeciwstawia *duchowi* w ustroju świata.

Ale z gry tych nie-przenikań powstaje pewien układ, który w aspekcie niejaźni, jawi się jako rozmieszczenie oporów, wykreślające siły; te zaś w ostatecznej analizie sprowadzają się do zgęszczeń i ekspansyj. Owe to zgęszczenia i ekspansje, rozważane w ich schemacie elementarnym, nauka dzisiejsza przeciwstawia jako materję (jon, atom etc.), a eter (elektromagnetyzm, siła ciążenia etc.), Wroński zaś — jako materję i światło. Jest to materja wtóra scholastyków, *materia signata sub quantitate,* materja rozciągła i zdynamizowana. Siła jest niejako wcielona w tę materję, gdyż gra działań duchowych, będąca źródłem siły, zmienia i nieustannie przemieszcza opory, ustanawiające materję. Materja więc nie może nam się przedstawić inaczej, niż jako ograniczająca daną siłę, samą zaś siłę ujmujemy jedynie pod postacią wysiłku, a więc czegoś duchowego, wsnutego w materję...

A teraz rzecz najważniejsza: stosunek materji i energji z życiem. Tu rozmijam się z dzisiejszem zapatrywaniem, że istnieje jeden rząd zjawisk, zwany mechanicznym i fizyko-chemicznym, a zawdzięczany siłom, zwanym materjalnemi, oraz drugi rząd, ustanawiany przez życie, które, sadowiąc się na siłach materjalnych, wprowadza tendencje, potrzeby, pragnienia, świadomość i myśl.

Nie mogę dopatrzyć się innego źródła siły, niż pragnienie, ani poczytywać materji za coś innego, niż za skutek nieprzenikania się działań duchowych. To, co nazywamy materją nieorganiczną, mojem zdaniem, jest to poprostu agregat, nie zsyntetyzowany w organizm i w całostkę życia, ale którego składniki są żywe; słowem nie sądzę, by jakaś materja, utrzymująca się sama w sobie, mogła istnieć inaczej, niż będąc indywidualizacją pewnego ośrodka pragnień, ośrodka życiowego. I w tem znaczeniu wyznaję hylozoizm. (W swym liście uczyniłem p. F. Warrain'owi ten zarzut.—*Cz. J.-K.).* Zmusza mię do tego wzgląd, że w mechanice niepodobna pojąć wytworzenia ani zniszczenia sił; siłę umie się tłumaczyć tylko, jako pochodną od innych sił. Natomiast psychizm tłumaczy nam pojęcia siły i energji przez pragnienie, które natrafia na opór, dający się przezwyciężyć zapomocą czasu i przestrzeni.

Określiłem energję, jako materję, pełniącą funkcję ducha, bo energja jest źródłem ruchu i zmiany, rozważanych w niejaźni. Ale co jest niejaźnią dla mnie, jest czyjąś jaźnią: w tym sensie, że źródło ruchu czyli energja — to duchowość, przenikająca materję i tem samem niszcząca ją, by ją przekształcić w *wyobrażenie* (bądź ruchu, bądź jakości, zależnie od analitycznego czy syntetycznego punktu widzenia). Otóż uduchowianie materji, czyli przekształcanie oporu w narzędzie i w punkt oparcia, ażeby regulować ,obramiać, wytyczać, porządkować i organizować grę tendencyj i działań, to właśnie to, co ustanawia *życie.*

Czy to hylozoizm? zapewne. Ale czy taki hylozoizm Wroński odrzuca? nie myślę. Wroński pisze w Apodyktyce, str. 216: „Materja żywa = systemat hylozoizmu. Ten systemat jest sprzeczny w swej zasadzie, a ponadto tkwi w nim błędne koło logiczne“. W swej zaś „Philosophie critique“ charakteryzuje on życie, jako to, co wprowadza *celowość* do ruchu, a materję— jako podległą czystej *przyczynowości.* Twierdzić więc, że materja jest zawsze żywa, znaczyłoby przypisywać jej wkład celowości, gdy tymczasem cechuje ją bezwład, czyli właśnie brak celowości; stąd sprzeczność. Ponadto błędnem kołem byłoby uważać życie za przymiot tego, co bezwładne, podczas gdy bezwład zaznacza się brakiem impulsywności, a życie jest rdzennie impulsywne.

Ale proszę rozważyć mój powyższy wywód, a przekona się pan, że nie godzi weń zarzut Wrońskiego. W mojem rozumieniu, hylozoizm polega nie na tem, by najpierw przyjąć materję, a potem obdarzyć ją życiem, tylko przeciwnie na tem, by wykazać, że materja może się ostać jedynie w miarę jak jest ona poddana działaniu ducha; i faktyczność tego ustosunkowania stanowi życie. Nie mówię, że materja posiada, czy wytwarza życie, lecz owszem, że materja (czysto bierna potencjalność w swem pochodzeniu) aktualizuje się, nabiera rzeczywistości, dopiero, gdy jest wypracowana przez ducha. Różnorakiemi wsobnemi i pozasobnemi aspektami tego wypracowywania są przestrzeń i czas, ruch, formy, obrazy, energja i życie.

Toteż nie sądzę, żebym był w niezgodzie z Wrońskim, ileże potępiony przezeń hylozoizm najzupełniej się różni od mojego. Zresztą będę panu wdzięczny za krytykę mych poglądów.

Na tem list się kończy.

Dla porównania z poglądami p. Warrain'a, przytaczam (w przekładzie polskim T. Zori) ustęp z dzieła W. Durant'a „Mansions of Philosophy“:

„Im więcej zbadamy materję, tem jaśniej widzimy, że nie jest ona czemś zasadniczem, tembardziej uważamy ją za skrystalizowany aspekt energji, podobnie jak ciało jest tylko zewnętrznym przejawem życia i umysłu. W samem jądrze materji, nadając jej kształt i ruch, jest coś zupełnie niematerjalnego, posiadającego swoiste życie i spontaniczność. I ta subtelna, ukryta, a jednak wieczyście objawiająca się siła jest ostateczną treścią wszystkiego istniejącego. Życie jest pierwsze i wewnętrzne, materja, współtrwająca z niem w czasie i nieodłączna od niego w przestrzeni, jest późniejsza w znaczeniu logiki i doniosłości; materja jest kształtem i widzialnością życia. Życie nie jest funkcją formy, forma jest wytworem życia. Waga i stałość materji są wynikiem i przejawem energji międzyatomicznej, a każdy mięsień i nerw ciała jest narzędziem tego lub innego pragnienia“.

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

ANTONI MADEJ

Człowiek

Nogi ci włosem obetrze — kto — strumień!
Kto ci obetrze pot z bladego czoła,
Jeśli nie prawda, Weronika sumień,
Stojąca z chustą swą w progach kościoła?!

(Z wiersza „Człowiek“ — C. K. Norwid).

Podziwiam cię, istoto promienna
dzwonem światła wzniesiona nad fale niebytu
Tu iskra myśli twojej, tu twa droga zmienna
pod górę dziejów od dnia twego świtu,
gdy po miljonleciach prób, ognia i żaru,
po lat miljardach życia roślinnego
weszłaś na scenę świata pod brzemieniem daru
ducha nieśmiertelnego.

Odtąd idziesz tak w glorji po najdalsze czasy,
aż rozwiążą się losy, aż to się dokona,
co zamierzył On wtedy, gdy gwiazd sprzęgał masy,
słońc wykreślał granice i snuł nieskończoność.

Człowieku, wydźwignięty wyżej:
nad królestwo materji, instynktu i biosu,
astral twego rozumu wiruje wciąż chyżej
po orbitach bezkresnych Logosu,
cyrklem myśli zakreślasz co jest, tworzysz, co być powinno,
sondą prawdy istoty bytu poszukujesz.
Rozum: twa siła samostwórcza, twa moc samoczynna
wieczność ściga i kształtuje.

Swem słowem ziemskie rozpalasz pożary,
czynem rąbiesz historji granice,
planet drogi poznałeś, kosmosu bezmiary,
w dłoniach swych uwięziłeś śmierć i błyskawice.

Lecz mądrości najwyższej wciąż jeszcze nie umiesz,
wciąż poddajesz się smutny niemocy, zwątpieniu,
i na pastwę porzucasz wzgardliwego tłumu,
coś osiągnął trudem i cierpieniem.

Odwołaj się do siebie, przed serca trybunał,
przed oczy postaw wolę i piękno, i prawo,
wznieś zaporę stubramną i burze, co suną,
zatop i zalej światła lawą!

Tyś cel sam w sobie, buduj i twórz siebie,
jak kolumna z marmuru stań w gmachu ludzkości,
osadza cię i dźwiga, jak słońce na niebie,
ramię wielkości!

Zabłąkany z wszechświata, o nie zabłąkany!
Wszedłeś w życie celowo, byś wzmógł się, spotężniał!
Twój zew, twe hasło, twe miano
niechaj szumi, jak sztandar, spod gwiazd niedosiężnych!

O, wątpiący sam w siebie, człowieku, człowieku,
potoś z chaosu mroków wszedł w przestrzeń otwartą,
by w szumie tysiącleci płynących i wieków
poznać swoją własną wartość,
by nieść ten dar niezwykły, wulkan gorejący,
który duchem się zowie, wspanialszy, niż słońce!

O, człowieku, człowieku, wołam cię, przyzywam!
Oto jest sprawa sprawiedliwa:
jedyny sens,
jedyna więź —
duch twój
i duch mój!

NIŻYŃSKI MARJAN

Wymówka

Rozumiem: Wściekłość cisnęła wam w oczy
Zieloną pianę kłamstwa, piach.
Trzebaby powstać, do ócz jej poskoczyć!
Tylko dlaczego ja?

Wiem: Trzeba będzie gryźć i strzelać!
Wiem: Swoje wyrwać z wrażych łap!
Gdy krew musuje — to krew trzeba przelać!
Tylko dlaczego ja?

Czy to liljowe poetyckie sny,
Że wsparty niewzruszenie
O praw zmurszałą gruszę,
Krnąbrny, zsiniały, zrozpaczony, zły,
Za was się muszę ja rumienić,
Za was człowieka ja udawać muszę?

Jak dobre z złem, z słabością moc,
Jak z życiem śmierć, jak za dniem noc,
Ze zbrodnią w imię... dla... i za...
Ciszę, moralność, miłość, wstyd,
Wypaliliście w moich snach
Wy.

Chrystjanizm spełniony

(Wronskizm a katolicyzm X)

Ad 7—11. Misterjum wynika z inadekwacji Rozumu teoretycznego i Rozumu praktycznego (jak antynomje z inadekwacji intellektu i Rozumu); jedność Rozumu- samego- w- sobie- przewidywał już Kant, a Wroński ją osiągnął, kładąc kres wszelkiej tajemnicy, przez rozwiązanie arcyproblematu stworzenia własnego Intelligencji, który to problemat jest zarazem tożsamością (indyfferencją) systematyczną i finalną wszelkiej tajemnicy (vide Creation des Mystéres, XIII S. Arch., „Apodictique", s. 310—11). Wroński w systemie tym wyznacza architektonikę siedmiu misterji; wykonywanie dobra w warunkach deprawacji moralnej, oto el. neutralny tego systemu. W rozwinięciach tych idzie Wroński za Kanta „Religion innerhalb der Grenzen der reiner Vernunft", co oczywiste, zważywszy, iż jesteśmy tu w sferze czystego Rozumu praktycznego, i tak np. tajemnica Trójcy świętej (Misterjum natury moralnej Boga) okazuje się nie być właściwie tajemnicą (w aspekcie Rozumu praktycznego); jest to schemat expresjonujący trzy władze Państwa Etycznego, w aspekcie którego ujmujemy tu strukturę osobowości Bożej; absolutny sens Misterjum Trójcy odnajdzie się w architektonice achrematycznej Arcyabsolutu; i tak, jeśli wszelka tajemnica w aspekcie Dobra absolutnego zostaje zniesiona przez rozwiązanie arcytajemnicy indywidualizacji absolutnej, która to tajemnica odnosi do siebie intencjonalność wszelkiej tajemnicy, to i tajemnica in lato sensu — w aspekcie spekulatywnym — znosi się przez rozwiązanie arcyproblematu Uniwersalizacji Absolutnej: transformacja hipostatyczna (i systematyczna) Intelligencji in individuali w Rozum in universali.

Cognosco absolutne = widzenie *twarzą w twarz Boga* (przecież jednak w absolutności Jego Essencji in universali, a nie w absolutności Jego Substancji in individuali, to bowiem jest już autodeifikacją), jak *widzeniem przez obrazy i podobieństwa* są systemy pojęć nie-absolutnych i systemy schematów Religji Objawionej. Filozofja absolutna, identyfikując się systematycznie z Rozumem absolutnym, *podmiotowością abs. Boga* (Arcy-Absolutu), zasady absolutnej wszech-kreacji — przenika do rdzenia intelligibilności Universum: *gdyby dno (zasada) istnienia dopuszczało minimum irracjonalności, wszelka racjonalność byłaby tylko subjektywną i przybliżoną* (natomiast minimum racjonalności in actu = maximum racjonalności in potentia).

II.

Ad 1—3. Protestantyzm (jako fenomen powszechny) powstaje przez wpływ absolutny i jednostronny receptywności poznawczej religijnej do receptywności uczuciowej religijnej, stąd wyłączony zostaje — z identyfikacji osiągalny — aspekt absolutny Rozumu, zatem Protestantyzm immanentyzuje Religję |„Ap." p. 45, 46, a także „Ap." 318: transition de l'Antichriste a l'Eglise; action de l'intimité éleuthérique (I. T. E.) = Protestantisme (Rationalisme immanent)|.

Katolicyzm (mistyczny) nie widzi w Odkupicielu, jak tylko Syna Bożego i Protestantyzm jak tylko Zbawiciela; w tem oto prawdziwa różnica, która dowodzi, iż ani jeden, ani drugi nie jest prawdziwym Chrystjanizmem i że to z ich zjednania winniśmy oczekiwać ostatniej rewolucji religijnej ludzkości. Protestanci wierzą (i cytują dla oparcia św. Łuk. XIX, 12 — 16)... „iż cała różnica (między Katolicyzmem i Protestantyzmem — *dop. mój)* polega na odnośnych skłonnościach wobec *łaski skutecznej* i *łaski dostatecznej*... jest to błąd" (Ap. s. 316, S. Arch. Stworzenia Religji Abs.).

Ad 4—8. Zaiste Filozofja abs. rozróżnia najprzód Religje oparte na kreacji ludzkiej: względne, i na kreacji boskiej: absolutne, ale odróżnia skolei rewelację autotetyczną (Absolut) Starego Zakonu i rewelację autogeniczną (Logos) Nowego Zakonu; przejścia wzajemne między religjami poznawczemi i uczuciowemi powołują Braminizm i Islamizm, stąd cztery podstawowe religje pozytywne; doskonała (systematyczna) koordynacja rewelacji autotetycznej i autogenicznej, t. j. religji uczuciowych i poznawczych nastąpi przez absolutną interakcję receptywności abs. uczuciowości i receptywności abs. poznawczości dla *religijności* (pojęć abs. Religji), wyniszczającą jednostronność heterogeniczną tych elementów; homogenizacja abs. Uczuciowości i Poznawczości (relig.) wytworzy dopiero podatność dla adekwatnego przeniknięcia Religji Rozumem absolutnym, droga to odległa, u końca której Chrystjanizm Spełniony. (v. „Apodictique", Creation de la Religion absolue par la Religion Révélé, p. 41 i in.) — Wiara, jako *relacja czysta podmiotu do treści* jest najniższym stopniem w hierarchji, w której najwyższym stopniem powinno być absolutna (apodyktyczna), w której *immanują* a totali Rozumowi jego treści czyste w abs. immedjacji (intrinsec); i przeciwnie: Wiara zakłada determinację (przedmiotu) abs. Rozumu Praktycznego, jako *postulaty konieczne jego Essencji*, mające za sobą tylko *prawomoc czystą* (intellig.) zachodzi to wówczas, gdy Religja (Objawiona) dostąpi *puryfikacji* (intelligibilizacji) czystego Rozumu Praktycznego; w postaci najniższej i najpierwotniejszej, Objawienie występuje jako absolutne *a exteriori* Rozumu (extrinsec) (heterotezja Objawienia: hic et nunc), jako *heterogeniczność* (heteronomiczność) abs. (abs. nie-ja w świadomości, pierwsza uniwersalizacja), proces puryfikacji zasadza się na progresywnej i systematycznej uniwersalizacji, autogenizacji i homogenizacji Objawienia: abs. *a interiori* Religji wobec Rozumu |daność extrinsec przemienia się w *daność intrinsec*, przypadkowość (dowolność) in individuali w konieczność in universali; i wreszcie daność intrinsec przeistacza się w *kreatywność* a totali et in universali poryzmatów Religji: heterogeniczność dogmatów zamieniona na autogeniczność Prawdy|; jako człon środkowy — medjatyzujący — występuje Objawienie, jako totum determinacyj nie-ja abs. (wpływającego na ja względne) (heterogenicznych): partycypacja heterogeniczna Absolutu (w schematach o nieskończonej potencji i skończonej aktualności intelligib.): absolutna *rewelacja wewnętrzna Rozumu w relatywnej systematyzacji* (determinacji). Teologja chrześcijańska — autotezja względna (heterogenja) Rewelacji absolutnej; Autotezję absolutną wytwarza Systemat Architektoniczny Religji Objawionej (Wroński), Autogenją absolutną (Religji) jest samaż Filozofja absolutna jako Religja absolutna. (Autogenja względna Religji to przedewszystkiem religjologja Kanta i Fichtego).

Ad 9—12. Paracletus autem, Spiritus Sanctus, quem mittet Pater in nomine meo, ille vos docebit omnia, et suggeret vobis omnia quaecumque dixero vobis (Joan. XIV, 26).

Forma absolutna relacji systematycznej heterogeniczności absolutnej Arcyabsolutu: forma dualności abs. Autogenji Bożej (Logosu) i Autotezji Bożej (Absolutu), dualności ustanawiającej zasadę Ducha abs. (Świętego) = Prawda absolutna; stąd oczywistem jest, iż manifestacja adekwatna Prawdy abs. w Filozofji abs. jest substancjalnie tożsama z manifestacją finalną Ducha świętego. „Odpowiemy, zawsze za Pismem świętem, iż, zważywszy, że Paraklet jest Duchem świętym, nie może być niczem innem, jak Dualnością Bożą, to jest harmonją między *Wiedzą i Bytem* w Bogu, między swą *Wolnością a Koniecznością*. I jako taki, Duch święty, przyjście którego obiecał nam Jezus Chrystus, nie jest czem innem, jak *Rozumem absolutnym,* który ściśle porówno w Bogu jak i w człowieku, idzie za prawami, które przewodzą ustanowieniu tej harmonji między wolnością a koniecznością, mianowicie za Prawem Stworzenia i Prawem Postępu. Wynika, iż obietnica Jezusa Chrystusa przyjścia Parakleta, Ducha świętego, nie będzie czem innem, jak obietnicą pocieszającą rozwinięcia się Rozumu absolutnego w ludzkości; i to w wyniku pojęcia, albo objęcia przez człowieka problematów prawd absolutnych, tych problemów, które w swej boskiej misji Jezus Chrystus nam objawił. Także powiedział nam wyraźnie, że jeśli zostanie na ziemi, Paraklet nie będzie mógł nadejść, t. j. jeśli ograniczymy się do samych problemów, które Jezus Chrystus nam rewelował, Rozum absolutny, konieczny dla rozwiązania tych problematów, nie będzie się mógł rozwinąć w ludzkości" (Cent pages décisives, p. 60) — Rozum absolutny przenika, obejmuje, owszem kreuje Absolut, wedle absolutnego Kanonu architektonicznego własnej Essencji, której Absolut zatem jest indywidualizacją systematyczną (tożsamością albo indyfferencją systematyczną), wszelka zatem Rzeczywistość, partycypująca w Architektonice relacyj intelligibilnych Absolutu poznana (i wytworzona) będzie przez Rozum, ani ukryją się przed Nim contingentia futura. — „Cum autem venerit ille Spiritus Veritatis, docebit vos omnem veritatem; non enim loquetur a semetipso: sed quaecumque audiet, loquetur et quae ventura sunt anonciabit vobis" (Joan XVI, 13). W szczególności w strukturze absolutnej Historji okres szósty, okres *uniwersalizacji absolutnej,* t. j. wytworzenia a totali architektoniki abs. Universum, mógłby nosić miano *okresu Ducha świętego;* in lato sensu cała epoka trzecia, epoka Rozumu (Człowieka) Absolutnego, różnicująca się na okres uniwersalizacji absolutnej i okres indywidualizacji absolutnej, zamykający się autokreacją a totali et in universali (= in archi-individuali) Ludzkości = SOCIETAS DEORUM.

Ad 18—22. Wbrew poglądowi Warraina, ujmującego Arcy-System Autokreacji Boga, jako system Mądrości Bożej (Analise et Commentaire de la Philosophie achrematique de Hoene-Wroński, p. 30 rkp.) należy *autokreację* Boga pojmować dosłownie; spełnia się ona w stożsamieniu (zrównaniu) systematycznem (hipostatycznem) Nieskończonej Wolności Bożej, zasadzającej się na Logosie i Nieskończonej Konieczności Bożej, zasadzającej się na Absolucie, co umożliwione jest przez transytywność obustronną Wolności do Konieczności (generacja Prawa Stworzenia) i Konieczności do Wolności (generacja Prawa Postępu).

Wielka kontrowersja Kościołów, dotycząca Filioque, odnajduje finalne rozstrzygnięcie w achrematycznej architektonice Absolutu: Wroński w „Prospectus de la Philosophie absolue" staje wyraźnie po stronie Kościoła Wschodniego: procesja Ducha św. zależy tylko od Boga Ojca, w przeciwnym razie *nie byłoby miejsca na nową, niezależną, absolutną manifestację Boga* (Prawdy absolutnej): Chrystjanizm (manifestacja Jezusa Chrystusa) byłby finalną expresją mądrości Bożej, nie byłoby zatem miejsca na Filozofję absolutną*). Zapoznanie się z architektoniką abs. Boga uczyni rzecz jasną: pomięszano triadę pierwotną Boga (el. neutralny, el. wiedza, el. byt) z triadą genetyczną Boga (Prawo Najwyższe, Problemat Powszechny, Zbieg Celowy); elementy pierwotne Boga to, jak wiadomo: Essencja Arcyabsolutu, jako neutralizacja Logosu (Autogenja abs.) i Absolutu (Autotezja abs.) oraz Logos i Absolut jako polaryzacja Boga; otóż dowolnie identyfikowano Boga Ojca z Absolutem, Syna Bożego z Logosem — zatem wynikałoby, iż Duch święty |tu mylono neutralizację z koordynacją (interakcją systematyczną)| procesjonuje obustronnie (Cieszkowski, idąc konsekwentnie tą mylną drogą poczytał Ducha św. za manifestację totalną i ostateczną *Substancji* Bożej: za indentyfikację absolutną dwu poprzednich hipostaz, jako arcy-konkretność Bożą). — Hipostazy absolutne utożsamiono tu z abstrakcyjnemi elementami rzeczywistości Boga; przedwczesnem by było odsłaniać tu w pełni istotę trzech Hipostaz, osobliwie, iż Hipostaza Boga Ojca zbiega się z Prawem Najwyższem Arcyabsolutu (a przeto i Universum), ograniczymy się do wskazania, iż Hipostaza Syna schematyzuje Problemat Uniwersalny Boga, w którym On intelligibilnie i systematycznie procesjonuje (transcenduje) ze Swego Ipsyzmu, atrahowany przez swoje absolutne *Alter-Ego*—Człowieka Absolutnego, wyznaczającego intencjonalność absolutną świata, jako jego racja adekwatna i absolutna przed obliczem Boga. Jezus Chrystus rewelował Logos — stąd identyfikacja przedmiotu abs. rewelacji z podmiotem abs. rewelacji, bynajmniej jednak nie twierdzimy, iż między przedmiotem a podmiotem tym zachodzi relacja extrinsec: *Absolut jest wykładnikiem in abstracto aseitas = ipseitas = wsobności Bożej* (indywidualizacji abs. i syst. Boga), *Logos jest wykładnikiem in abstracto alteritas=innosobności Bożej* (uniwersalizacja syst. i abs. Boga): Stary Zakon rewelował Autotezję abs. Boga (Absolut), co bynajmniej nie jest jednoznaczne z rewelacją (manifestacją) Arcy-hipostazy Boga Ojca; Stary Zakon pojmował bowiem Boga jako Byt-sam-w-sobie, co odsłania jedynie atrybut Boga, a nie specyfikuje Hipostazy Boga Ojca; Nowy Zakon reweluje Autogenję abs. Boga (Logos), atrybut Wiedzy-samej-w-sobie, zasada ta absolutna świadomości (dlasobności) dozwala na procesję intelligibilną Boga: Problemat Powszechny (abs.-systematycznej uniwersalizacji) Boga jest wsobno-dlasobną (hipostatyczną) jednością systematyczną (totalną) intelligibilną exodus Boga *(autoalteryzacji jego Ipsyzmu);* wykazalismy zatem związek Logosu z Problematem Powszechnym Arcyabsolutu, co tłumaczy owo pomięszanie Triady Pierwotnej z Genetyczną: Jezus Chrystus, jako manifestacja adekwatna w czasie, Problematu Powszechnego Boga, comprehendował *wsobnie* (in individuali) totalność Bóstwa, w jego podatności transcendowania (procesjonowania) = *autogenizacji in universali:* stąd Logos absolutny (achrem.) jest *wykładnikiem* Jezusa Chrystusa (jako SYNA BOŻEGO); el. neutralnym jego rzeczywistości jest doskonałość, el. wiedzą — walor dobra, el. bytem — walor zła, zaś boskość syna Bożego = kombinacja doskonałości moralnej z walorem dobra; Jezus Chrystus jest neutralizacją (indentyfikacją) *Syna Bożego* (natura boska) i *Zbawiciela* (natura ludzka), el. neutralnym rzeczywistości Zbawiciela jest walka moralna, el. wiedzą — potencja dobra, el. bytem — potencja zła i t. d. (v. „Apodictique" Création du Sauveur, 303 — 4, Création du Fils de Dieu 305) — Struktura in abstracto Trynomji Genetycznej wyznacza strukturę Trójcy św. (jako Trynomji Genetycznej Arcyabsolutu): otóż Problemat Powszechny koniecznie i adekwatnie determinuje się Prawem Najwyższem: jest *metodą jego autogenizacji transcendującej* (in universali), |i konsekwentnie zasada Syna Bożego (metoda) subordynowania transcendowania alteryzmu i immanentnego ipsyzmu abs. Boga Ojca|; Zbieg Celowy pozostaje najzupełniej niezależnym wobec Problematu Powszechnego, jest owszem wobec niego wcześniejszym, wyraża (Zbieg Celowy Systematu Boga) homogenizację (koordynację) abs. heterogeniczności Boga (i Universum) (Autogenji i Autotezji); harmonizacja ta abs. polarności Boga (i Universum) (Logosu i Absolutu) jest systematyzacją immanentną (i transcendującą w Universum) aktywności abs. Boga |jedności (tożsamości) hipostatycznej Wolności i Konieczności|: abs. autorelacjonizacją dlasobną Boga w elementach jego dualności (Autogenja abs., *principium abs. swiadomości,* i Autotezja, *principium nieświadomego)* i w in extenso absolutnem Universum harmonizacją abs. (i transcendentną) absolutnej polarności (heterogeniczności) Wiedzy i Bytu = aktywność Ducha abs. Najgłębsze nawet spekulacje na temat triadyczności Absolutu |jak np. Hegla i idącego za nim Cieszkowskiego, co transponuje się w terminach metafizyki generalnej tym trybem, iż dla obu Duch abs. (Duch św.), jako aktywność czysta, *in universali,* staje się ostateczną (hipostatyczną) neutralizacją Boga i Człowieka, co ostatecznie musi wyrazić się *jednostronną immanentyzacją Boga,* przed czem chroni absolutna transcendencja Hipostazy Boga Ojca, implikująca własną, najwyższą intelligibilność| pozostają inadekwatne, z powodu nieznajomości Architektoniki Prawa Stworzenia Boga; głębiej od Hegla sięgają Sołowjew i przedewszystkiem Trentowski: „Vere Tu es Deus absconditus" (v. Sołowjew „Sobranje soczinnienji", t. III, 83 i in., Trentowski „Panteon Wiedzy Ludzkiej" t. III, 626).

Jarosław Jaropełk Stępniewski.

*) „Jeśli Duch święty pochodzi od Syna, jak to przyjmuje Kościół łaciński, prawda całkowicie jest zawarta w Nowym Testamencie i żadne dalsze spełnienie nie może być przyniesione religji. Kościół łaciński oddaje się tym sposobem niebezpiecznemu ustaleniu pośród postępów nieodwołalnych rozumu człowieka: znajdzie się on przeto opuszczony, skoro tylko, przez swą konstytutywną bezruchomość pozostanie w tyle tych postępów rozumu, to jest, skoro tylko w granicach Wiary, w których będzie zamknięty, nie będzie mógł więcej odpowiedzieć na wezwanie rozumu, rozwiniętego w człowieku, który, w tem rozwinięciu domaga się PEWNOŚCI i domaga się jej wyłącznie. Lecz co bardziej jeszcze niebezpieczne, przeciwne nawet świętemu celowi chrystjanizmu, śmiemy to powiedzieć, to to, iż przez to ustalenie konstytutywne, Kościół łaciński zapoznaje wielki nakaz moralny przejścia od dobra względnego do dobra absolutnego, nakaz, który, wedle tego, co uznaliśmy wyżej, jest bezspornie Nakazem Podstawowym chrystjanizmu: wiara, łaska i nawet uczynki nie wystarczają dla tego koniecznego przejścia od stanu naszego, dziedziczonego zepsucia moralnego, do stanu świętości, w którym ustaje panowanie zła. To przejście, powtarzamy, jest świętym i dostojnym celem chrystjanizmu, przed którym rozum zmuszony jest skłonić się; i to nieuchronne przejście od RZECZYWISTOŚCI AKTUALNEJ ludzkości do swej RZECZYWISTOŚCI ABSOLUTNEJ, jedyny przedmiot naszego istnienia na ziemi, nie może być dokonane, jak przez postępy rozumu, który sam tylko może odkryć warunki bezwarunkowe tej rzeczywistości absolutnej człowieka, w której ten może przez się uwolnić się od fatalnego panowania zła. Trwając w dogmacie pochodzenia Ducha świętego od Syna, dwa sposoby jedynie przedstawiają się, aby salwować Kościół łaciński z jego niebezpiecznego ustalenia konstytutywnego: jeden, przyjmując interpretację racjonalną i odpowiadający rozwój czasowy Pisma Świętego; inny, uznając, iż obietnica nadejścia Ducha świętego nie była całkowicie spełniona w Pięćdziesiątnicę („Prospectus de la Philosophie Absolue" 142 — 143), — pierwsza z tych dróg inadekwatna: essencja absolutna chrystjanizmu niewyrażalna w pojęciowości wiedzy immanentnej (doczesnej) (protestantyzm), druga w zstąpieniu Ducha świętego w Pięćdziesiątnicę widząca względne zintensywnienie duchowości Apostołów (nie *absolutną* manifestację Prawdy) właśnie utrafiająca w sedno: „PARACLETUS AUTEM, SPIRITUS SANCTUS, QUEM MITTET PATER IN NOMINE MEO, ILLE VOS DOCEBIT OMNIA, ET SUGGERET VOBIS OMNIA QUAECUMQUE DIXERO VOBIS" |zwracamy uwagę, iż owa osobliwa *wszechpojętność,* która stała się w Pięćdziesiątnicę (Act. II, 6 — 12) jest figurą (= schematem antycypacyjnym in concreto) absolutnej i powszechnej jedności i tożsamości substancjalnej Ludzkości w essencji explikowanej Rozumu| — „Przeciwnie, jeśli Duch święty nie pochodzi, jak od Ojca, jak przyjmuje Kościół grecki, wielkie spełnienie chrystjanizmu, którego nieuchronną konieczność sygnalizowaliśmy, staje się corrolarium bezpośredniem tego podstawowego dogmatu. Zresztą, to corrolarium jest już ustalone wyraźnie w tych słowach Pisma: „Cum autem venerit paracletus, *quem ergo, mittam vobis a Patre,* SPIRITUM VERITATIS, *qui a Patre procedit, ille testimonium perhibebit de me*". (ibid. 143). — Duch święty permanentnie jest obecny (działa) w Kościele, aktywność ta jest przecież *względna* do pojemności świadomości (na Prawdę absolutną), jak ewolwuje ona w historji Kościoła (orzeczenia soborów i papieży, absolutna autoadewacja aktywności Ducha abs., jako Prawda abs. wytwarzająca się w absolutnem *a interiori)* przez zniesienie interakcji, ściślej dwoistości Absolutnego Przedmiotu i ograniczonego podmiotu recypującego Rewelacji: Heterogenji abs. i Autotezji względnej Objawienia (Filozofji abs.)—Ustalenie finalne architektoniki Osobowości Bożej (struktury procesyj) stwarza podstawę do przywrócenia jedności chrześcijańskich Kościołów, rozdartych antynomją religijną abs. *stałości* (statyczności) i abs. *progresywności* (dynamiczności) Objawienia; i tak oto, jako motto w Reformie Religji bierze filozofja absolutna te słowa Pisma „Nolite putare, quoniam veni solvere legem, aut prophetas: non veni solvere sed adimplere" (Mat. V. 17).

Ustrój Trójcy Świętej, jako corrolarium architektoniki intymnej Arcyabsolutu, najwyraźniej prezentuje tekst poniższy: „Pojętne jest teraz w istocie, jak w essencji Boga, która stanowi Zrównanie Spełniające (P. C.) tego pierwszego rzędu kreacji, ten rezultat finalny stworzenia własnego Boga, gdzie ustanawia się konsekwentnie świadomość ogólna Ja w Bogu, znajdują się zawarte z świadomością bożą rozróżnioną, 1-o *zasada* pierwsza Jego Stworzenia, Ojciec, 2-o wynik nieodłączny Jego Stworzenia *Syn* i 3-o harmonja, jako *prawda,* Jego dwu elementów przeciwstawnych, *Duch Święty*. I rozumie się wtenczas, jak te trzy świadomości odróżnione, które są nieoddzielne od essencji Boga, tworzą w tej essencji ogólnej i jedynej *potrójną* reprodukcję, rozróżnioną świadomości tego Ja w Bogu, niejako trzy świadomości tego Ja w Bogu, tym sposobem iż jakkolwiek jeden jest tylko Bóg w świadomości ogólnej swego Ja, znajdują się w nim z całą ścisłością tego oznaczania trzy różne osoby, to jest trzy modyfikacje szczególne ale essencjalne świadomości ogólnej Ja w Bogu. — Jeśli idzie o inne części konstytutywne tego pierwszego rzędu kreacji, tworzącego stworzenie własne Boga, takie, jakiemi są jego autogenja, jego autotezja, wolność nieskończona, konieczność nieskończona etc., to są one jedynie artybutami Boga, ponieważ wywodzą się z zasady pierwszej Z i będąc przeciwstawne jedne wobec drugich, nie istnieją one przez się i nie mogą zatem stanowić świadomości Ja w Bogu. Nawet essencja X Arcy-Absolutu, która jest elementem podstawowym w Bogu, nie może stanowić takiej świadomości odróżnionej Ja w Bogu, ponieważ element ten, przyczyniając się do identyfikacji elementów przeciwstawnych w ukształtowaniu finalnem (P. C.) essencji Boga, przez tosamo implikowany jest przez świadomość ogólną Ja w Bogu" („Reforme du Savoir Humaine", t. II, p. 567).

Na niebezpiecznym wirażu

Nieprzyzwoitość

Bywa czasami tak, że jeden drobny fakt „dopełni miary nieprawości". Patrzyłem przez szereg lat ze spokojem na bezprzykładny kanibalizm, z jakim nasza prasa, krytyka literacka i t. zw. „elita intelektualna" usiłuje uśmiercić przemilczaniem uczciwą, bezkompromisową i konstruktywną akcję „Zetu". Aż wtem jeden lilipuci „drobióżdżek" wyprowadził mnie z równowagi. Oto „Czas", stając w obronie „Buntu Młodych" przeciwko bojkotowi kolportażowemu, zastosowanemu doń bezprawnie przez „Ruch", drukuje takie zdańko: „nie uwierzymy, by kolportaż tego pisma był mniejszy niż kolportaż *jakiegoś* „Zewu", *„Zetu"* czy „Poprostu".

Otóż ja zmuszony jestem wyprosić sobie na przyszłość takie rzucane mimochodem perfidne złośliwostki i zwrócić uwagę redakcji „Czasu" na kardynalną zasadę przyzwoitości: Suum cuique tribue... Sądzę, że redakcja „Czasu" nie pozwoliłaby sobie pisać w ten sposób o „jakimś tam Przeglądzie Filozoficznym, czy „jakimś Marchołcie", zaś cztery lata pracy ideowej i teoretyczno-spekulatywnej „Zetu" pozwoliły chyba współpracownikom szacownego organu zorjentować się w klasie i charakterze naszego pisma. Zestawianie „Zetu" w jednym (niby przypadkowym) szeregu z komunizującem pisemkiem w rodzaju „Poprostu" należy do tych nielojalnych perfidyj, od których roi się prasa polska, a na jaką w „Czasie" nie powinno być miejsca. Redakcji „Czasu" wiadomo zapewne, jak konsekwentną walkę prowadzi „Zet" z domorosłymi poputczykami komunizmu.

Jeżeli „Zet" ma istotnie niewielki nakład (choć może większy od wspomnianego „Czasu"), to żaden wstyd dla nas, bo wystarczyłoby obniżyć nieco poziom naszego pisma, nazbyt „trudnego" dla naszej „elity intelektualnej", aby nakład ten parokrotnie powiększyć; ale „Zet" na takie obniżenie nie pójdzie, bo taką już mamy idée fixe, żeby kosztem ofiar w Polsce bezprzykładnych, za pieniądze jednostek prywatnych, które nie bardzo stać na kupno nowych butów, uczyć Polaków pracować głową i „z trudem" myśleć. Wstyd to raczej dla Polski współczesnej, a może więcej jak wstyd, bo plama na jej honorze, którą historja nie tak łatwo zmyje.

„Zet" docierałoby głębiej i szerzej w świadomość polską, gdyby nie ta obrzydliwa metoda przemilczania, której nasza prasa nauczyła się... nie wiem doprawdy od kogo... może od „Wiadomości Lit.". Jeżeli „Czas" oburza się na bezprawny bojkot „Ruchu", zastosowany wobec „Buntu Młodych", to jak nazwać tę milczącą zmowę zbiorową, — nie wiem: bezwiedną, czy świadomą, — na jaką wygląda zachowanie się całej prasy polskiej, bez różnicy odcieni politycznych, wobec wszechstronnej działalności publicystycznej „Zetu"? Trudno doprawdy postawić tutaj djagnozę: czy to instynktowne zagłuszanie tego głosu sumienia historycznego, jakiem jest samo istnienie „Zetu" dla bezideowej, zbanalizowanej i zbarbaryzowanej umysłowości polskiej, czy też może — mniej „patetycznie" — jest to poprostu bezwiedne uleganie dyrektywom mafij i agentur obcych, których zamaskowani agenci siedzą wszędzie, a którym „Zet" wypowiedziało bezpardonową walkę?

Powiedzmy sobie, że i to drugie przypuszczenie jest przesadą. Ot, poprostu, oduczyli się myśleć i zastanawiać nad czemś dłużej niż sekundę. Nie rozumieją, odkładają na bok, nie czytają. Ba, ale w takim razie skąd to ustawiczne eskamotowanie myśli? Po każdym nowym numerze „Zetu" w prasie aż roi się od powtórzeń i ech naszych artykułów wstępnych, tylko, że na źródło nikt się nie powołuje. Gorzej, bo np. w I. K. C., — które to pismo ja cytuję zawsze jaknajsumienniej — przedrukowano raz prawie połowę art. wstępnego „Zetu", podając wszelakoż zupełnie inne pismo, jako źródło przedruku (!)

Dziwy dzieją się w Polsce. To istny kraj zaczarowany, nieprawdaż?

Aha, na zakończenie chcę jeszcze podać do wiadomości redakcji „Czasu", że „Zet" również zostało dotknięte odmową kolportażu ulicznego ze strony „Ruchu", i to wcześniej od „Buntu Młodych". Nie podniosłem jednak alarmu, bo jestem do takich rzeczy przyzwyczajony. Droga wydawnicza „Buntu Młodych" jest usłana różami w stosunku do tej, po której ja od szeregu lat muszę kroczyć.

Zwężony horyzont

Stosunek mój do „Buntu Młodych" był zawsze pozytywny. Cenię w tem piśmie słuszność założeń, czystość intencyj i śmiałość walki. Drukowałem w nim kilka artykułów. Może nie we wszystkiem się rozumiemy, t. zn. ja rozumiem, o co *im* chodzi, oni zaś nie rozumieją podstaw *mojego* światopoglądu. Temniemniej, jak to sami przyznali, widzą oni dziwną zgodność tez i ocen, tam, gdzie działalność „Zetu" przecina się z akcją publicystyczną „Buntu Młodych" na terenie polskiej rzeczywistości kulturalnej. Stosunek nasz do bolszewizmu i jego poputczyków, do „życia ułatwionego", „Wiadomości Lit." i t. p. upiorów współczesności polskiej jest ten sam. Ponieważ żywiołem publicystycznym „Buntu Młodych" jest aktualizm polityczny, zaś wysiłek konstruktywny „Zetu" idzie w kierunku przebudowy całokształtu kultury Polski odrodzonej, obejmując dziedzinę polityki praktycznej jako jeden z odcinków tylko swej działalności, prosty stąd wniosek, że ramy ideowe „Buntu Młodych", są węższe, niż „Zetu". Ograniczenie takie łączy się zazwyczaj z przeoczaniem i odwartościowaniem tych spraw i problemów, jakie leżą poza bezpośredniem polem widzenia. Łatwo tu o nieopatrzne mniemanie, że „ważnem jest to, co my robimy, a wszystko co robią tamci, to luksus, sfera urojeń, stratosfera". Mam wrażenie, że takiemu zwężonemu horyzontowi uległ nietylko „Bunt Młodych", lecz i inne pokrewne mu prądy „Polski idącej". (Np. W. Bączkowski, zdolny i śmiały w poglądach redaktor „Biul. Polsko-Ukraińskiego" i „Wschodu").

Zanim wyjaśnię, o co mi idzie, zacytuję następujące zdanie z „Buntu Młodych" (nr. 2, z 10. II. b. r.): „Ani jeden organ prasy polskiej nie zdobył się na rzeczową analizę istoty zbrojeń sowieckich i niemieckich. Ani jeden organ prasy polskiej nie zdobywa się na stałe i systematyczne informowanie społeczeństwa polskiego o sytuacji międzynarodowej"... Otóż „Bunt Młodych" zapomniał tu dodać: „oprócz Zetu".

W dziesiątkach artykułów wstępnych wskazywałem od szeregu lat na istotę i kulisy zbliżających się wydarzeń, specjalnie na narastający u granic Polski konflikt dwu doktryn, dwu mocarstw, których machiny militarne zagrażają Polsce zmieleniem na miazgę, jeżeli świadomość jej narodowa nie urośnie na miarę tych nowych konjunktur historycznych. Bezustannie informowałem polską opinję publiczną o zmianach i konfiguracjach najgłębszych sytuacji międzynarodowej. Zmianę frontu stresemanowskiego w Niemczech na zryw imperjalistyczny w stosunku do Europy wschodniej sygnalizowałem już przed dojściem definitywnem Hitlera do władzy. Analizowałem całokształt intrygi sowieckiej, kulminującej w osławionym „pakcie wschodnim", wskazując, jaką powinna być polityka polska w odniesieniu do tego problemu (i affirmując n. b. w zarysie wytyczne min. Becka). Jedyny (dosłownie!) w całej Polsce zaprotestowałem przeciwko wpuszczeniu Sowietów do Ligi Narodów, przepowiadając z matematyczną dokładnością przeraźliwe konsekwencje tego nonsensu polityki zachodnio-europejskiej (patrz artykuł: „Hańba Genewy" i inne). Ani ukraiński „Wistnyk", ani „Biuletyn P. - U.", ani prasa katolicka, ani nawet „Bunt Młodych", mimo swej zdecydowanej postawy antyrosyjskiej, czy antysowieckiej, nie podniosły wtedy alarmu. Poprostu nie zrozumiały co się dokonuje, bo perspektywa była zbyt bliska. Ale, gdy te „rzeczowe" placówki polskiej i europejskiej racji stanu, opowiadające się bez zastrzeżeń za Zachodem, przeciwko „zgniłemu Wschodowi", nie przejawiły tu nawet prostego instynktu samozachowawczego, nie mówiąc już o przewidywaniach na daleką metę, — to „mgławicowo-nierealny J. Braun", „nałogowy panteista", który „ma ogromną niechęć do konkretnych zjawisk ziemskich" i we wszystkiem widzi „metafizykę", dostrzegł odrazu „cień Iwana Kality" nad Paryżem, Genewą i Dunajem.

Lecz pójdźmy dalej. „Bunt Młodych" i organy pokrewne podjęły wysiłek oczyszczenia rzeczywistości polskiej z nalotów destrukcyjnych, z okupacji wschodniej, z poputczyków kominternowskich, z apostołów hedonizmu seksualnego i „życia ułatwionego", z agentur fałszywego humanitaryzmu w rodzaju Ligi Obrony praw człowieka. Otóż pozwolę sobie zapytać, kto tę akcję w Polsce wogóle zapoczątkował? Jeszcze przed 5 laty „Wiadomości Lit." nadawały ton kulturze polskiej, Boy był nietykalną świętością, a kto nie przeszedł przez cenzurę kliki geszefciarsko-dowcipkarskiej, usadowionej na tym „Parnasie obwarowanym", był albo śmiesznym zacofańcem albo grafomanem. Wypowiadając walkę tym stosunkom, dążąc do odczarowania prawdziwej twarzy Polski współczesnej z pod zakłamujących ją szminek, zapowiedziałem wyraźnie — w maju 1931, w „Expresie Porannym" — że „za lat 10 kamień na kamieniu nie pozostanie z tego „domu niewoli", w którym prawdę uważa się za kłamstwo, a kłamstwo podaje się za prawdę". Na ostrzu noża postawiłem ten problem w „Gazecie Literackiej" (z listopada 1931) w artykule „Twarz człowieka". Zaraz potem, w naiwnej może prostoduszności, zwróciłem się do dep. sztuki i kultury z inicjatywą przeorganizowania od podstaw całej polskiej rzeczywistości kulturalnej, która nietylko nie jest odbiciem prawdziwej dynamiki twórczej Polski odrodzonej, lecz dynamikę tę hamuje, źródła jej duchowe zatruwa, a produkty puszcza w świat pod fałszywemi etykietami. Zarysowałem wówczas cały plan przebudowy. Poparcia nie znalazłem (dziś już rozumiem dlaczego). Musiałem działać na własną rękę, prawie w pojedynkę, innemi metodami, usiłując rozpalić w Polsce ognisko światła, któreby zwolna prześwietliło i uzdrowiło wszystkie dziedziny. Pojąłem, że trzeba wprzód wykrystalizować polską filozofję rzeczywistości, polski pogląd na świat, wkorzeniony głęboko w historję i w kreacje największe polskiej myśli filozoficznej, — jeżeli chcemy wypchnąć z Polski doktryny i światopoglądy zgubne, barbaryzujące umysłowość i deprawujące etycznie. Oto geneza „Zetu". Kryterjum była dla nas, w trudnej pracy i w jeszcze trudniejszej walce, prawda i polska racja stanu.

Nie kłanialiśmy się, nie oszczędzaliśmy nikogo. Tropiliśmy i piętnowaliśmy zło pod każdą postacią. Przewidywaliśmy zawczasu niebezpieczne odchylenia od „generalnej linji", ukazując ich szkodliwość. Czuwaliśmy nad hierarchją wartości, aby w zamęcie spraw drugorzędnych, myśl polska nie odwróciła się od właściwych sobie zadań o doniosłości historycznej. „Zet" jest dziś ideałem pisma niezależnego, rygorystycznie służącego jedynie i wyłącznie prawdzie, niepopartego przez żadne heterogeniczne siły i stronnictwa.

Z perspektywy dzisiejszości ludzie nie dostrzegają, że pojawienie się „Zetu" było realnym momentem zwrotnym w historji kształtowania się świadomości polskiej, jako podmiotu państwowości odrodzonej, że odtąd zaczęła się w Polsce prawdziwa „rewolucja duchowa", z której ma wyjść nowy człowiek i nowa kultura. Nie dostrzegają, że akcje „Gazety Literackiej", „Buntu Młodych" i pism pokrewnych, a nawet „Pionu" czy „Marchołta" (porwanych w rytm tej djalektyki historycznego stawania się) są momentami całkującemi tego przełomu.

Lecz tu konieczne ostrzeżenie: ci, którzy poszli z nami i za nami, zaczynają wpadać — pod pewnym względem — w niebezpieczną przesadę. Przeholowują w nienawiści, przenosząc ją ze zjawisk, istotnie szkodliwych w obecnej rzeczywistości polskiej, na *zasady* i *ideje*, które należało z pod tamtej okupacji perfidnej oczyścić i wyzwolić. Dowód to niedojrzałości i krótkowzroczności w Polsce tych nawet, którzy mają kręgosłup zdrowy i intencje uczciwe.

Jeżeli trzeba tępić frazeologiczny pacyfizm i pseudo-humanitaryzm, osłabiający w nas wolę zwycięstwa i walki, to nie dowodzi, że ideał pokoju powszechnego traci walor i że Polska ma wytworzyć typ człowieka, zmilitaryzowanego psychicznie, maszerującego w szeregu i uzbrojonego po zęby. Jeżeli trzeba się bronić przed fałszywemi ideologjami, prowadzącemi nas na bezdroża intrygi kominternowskiej, czy prymitywnego rasizmu, to nie znaczy, by Polsce niepotrzeba było wobec tego żadnej idei (przeciwnie, zwyciężyć można tamte tylko większą i słuszniejszą ideą!). Jeżeli uwodzą nas różni zakłamani „idealiści" z pod ciemnej gwiazdy pięcioramiennej tajnych międzynarodówek, nie znaczy to, by kryterjum siły i zdrowia duchowego Polski był płaski, zoologiczny realizm dobrego interesu. Jeżeli Liga Narodów jest nieudaną, źle zmontowaną komedją, to nie znaczy, żeby światowy system federalności, realizujący istotnie ład moralno-polityczny, był niemożliwy (przeciwnie, tem więcej go potrzeba, i z tem większą energją właśnie my, właśnie Polska winna dążyć do jego zorganizowania).

Otóż w takie właśnie ekstremy zaczynają popadać nasi realiści polityczni. Nazywam to zwężeniem horyzontu, stwarzającem niebezpieczeństwo wprost przeciwne do gróźb „okupacji wschodniej" przez front poputczyków wszelkiego autoramentu, temniemniej niebezpieczeństwo, które należy nazwać po imieniu. Czynię to w interesie samych tych ludzi dobrej woli, którzy zajęli się wyzwalaniem i kształtowaniem woli polskiej, uwikłanej w perfidne sieci tamtej kłamliwej djalektyki, lecz nie widzą, że bez równoczesnego wyzwolenia i ugruntowania myśli polskiej, wola ta będzie się szamotać w próżni, jak norwidowa „energja, która to tylko wie, że ugania".

Istnieje prawo niezłomne: horror vacui. Coś musi zająć miejsce próżne. Nie dano Polsce myśli, światopoglądu, celu, nic dziwnego więc, że wciskają się w jej świadomość obce światopoglądy i ideje, widma szukające wcielenia i kształtu. Zapowiadałem w Zecie, że z braku polskiej doktryny historycznej zacznie się u nas proces podwójny: hitleryzowania i komunizowania młodzieży. Stwierdziły to później O. N. R.-owe nastroje z jednej, a różne „Lewary", „Poprostu" i mrowie innych pisemek bolszewickich z drugiej strony.

W tej sytuacji postawa anti-światopoglądowa aktywistów polskich w typie „Buntu Młodych" jest zjawiskiem niebezpiecznem. Jeśli ci młodzi ludzie, w imię interesu mocarstwowego Polski, odżegnywać się chcą od myśli polskiej, od jej uniwersalizmu spekulatywnego i moralnego, od jej rzeczywistego prometeizmu, wyznaczającego Polsce rolę przodującą w kształtowaniu nowej epoki cywilizacyjnej, nowej kultury w Europie, to — wbrew ich intencjom — jest to *nowy zamach na prawdę dziejową Polski*, której zaprzepaścić nam nie wolno.

„Myśl polska"... bez myśli

To, co powyżej napisałem odnosi się już właściwie nie do „Buntu Młodych" czy „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego", lecz do ich „duchowego potomstwa". Ukazał się np. teraz numer 1-szy pisma „Myśl Polska". Budzi on niewesołe refleksje. Tragedją Polski był zawsze niedorozwój mózgów, obok żwawego pochopu do czynów. Znamiennym tego przykładem jest nowy perjodyk, którego tendencją podstawową zdaje się być „myśl polska"... *bez myśli*. To nie humor, lecz smutna rzeczywistość. Nie dla kawału również pisałem swego czasu o O. N. R., że obrało sobie za symbol „rękę z mieczem... *bez głowy*".

Fatalnie się Polsce przysłużył Bączkowski przez wynalezienie epitetu: „stratosferyczność". Uchwyciły się tego jak deski ratunku polskie młodociane słabogłowce i wszystko, co przerasta ich zdolność zrozumienia, co im każe myśleć, pracować głową, przekreślają sobie tem łatwem słówkiem: „stratosfera". „My stąpamy po ziemi, a tam jakieś ideje, posłannictwa, prawdy, metafizyka, jakieś rojenia stratosferyczne". Ciemnota polska czuje się rozgrzeszona. Można znów biegać wkółko, wymachiwać mieczem i krzyczeć: „Polska".

Zbyt łatwo robi się mocarstwowość w pojęciu różnych dziarskich młodzieńców. A jednak mocarstwowość to nie przysposobienie wojskowe i nie „interes" narodu, a nawet nie „imperjalizm" i najszerzej pojęty „realizm polityczny". Odsyłam w tym względzie do mego artykułu „Mocarstwowość, a posłannictwo" (Zet, nr. 12 (84). Mocarstwowość to przedewszystkiem własna, dynamiczna kultura, samowystarczalna i promieniująca nazewnątrz, to gruntowna wiedza praw historji i zdolność ich twórczego użytkowania, to świadomość własnej misji cywilizacyjnej, której sobie nikomu odebrać nie pozwolimy, to żywa, organiczna wspólnota obowiązków i celów, umiejąca się zdobyć na heroiczny wysiłek, gdy idzie o narzucenie swej idei i swej woli plastycznym żywiołom historji.

Czy takie pojęcie mocarstwowości już się w Polsce upowszechniło? Gdyby tak było, nie stalibyśmy przed hamletowem „Co dalej?" (patrz: interesujący art. W. B. p. t. „Na szlaku Marszałka"). Publicysta „Myśli Polskiej" ryzykuje odpowiedź na to pytanie; widzi przed Polską „problemat planów działania dorównującego w całej pełni aktywności wielkich narodów współczesnych, jako zagadnienie wielkich czynów, podnoszących Polskę do rzędu potęg". Słusznie, ale gdzie źródło tej aktywności, na czem oprzeć ten plan działania? Nasi realiści powiedzą: źródłem tem jest „interes Polski". Otóż nie, interes to nie jedyny motyw woli ludzkiej, czy pojedynczej czy zbiorowej. Wielkie dzieła sztuki, nauki, twórczości kulturalnej, wielkie czyny narodów i wodzów nie powstawały pod impulsem interesu (w każdym zaś razie był on tylko motywem ubocznym). Nie godzę się na taki materjalizm dziejowy, trącący Marksem a rebours. Twórczy, samoistny, rozmiłowany w prawdzie i w wielkości duch ludzki wydźwignął z nicości te dzieła. Ta utylitaryzacja polityki jest jedną z klątw nierządu moralnego, zagnieżdżonego w duszach współczesnych. Amoralizm polityki to przesąd; przeciwnie, jest ona jedną z kapitalnych dźwigni postępu moralnego ludzkości.

Płycizna taka w traktowaniu problematyki polityczno-historycznej przebija w artykule J. Iskierki „Mgławice". Autor jego wyobraża sobie, że nie mogą i nie powinny istnieć inne sposoby i metody myślenia o historji, niż te, które nastręcza praktyka polityczna. Nie wie, że obok astronomji stosowanej, istnieje też astronomja teoretyczna, że obok politykowania in concreto może też istnieć teorja polityki. Dla p. Iskierki to wszystko „mgławice", „abstrakcje", „metafizyka". Tylko, że gdy zaczniemy zwężać zakres realności, to się pokaże, że naprawdę realny jest stół i ściana, bo mogę ich dotknąć i wyrżnąć o nie głową, natomiast prawo i państwo, to abstrakcje, żyjące jakimś bytem idealnym w umysłach ludzkich.

Nielojalne sugestje p. Iskierki, jakobym ja apoteozował rozkładowe nastroje mentalności wschodniej, odgrażającej się „zgniłemu Zachodowi", są czemś specjalnie perfidnem, w zestawieniu z wieloletnią walką, prowadzoną przezemnie właśnie z temi „wyziewami Wschodu". Niech p. Iskierka przeczyta sobie mój artykuł w „Buncie Młodych" p. t. „Europa nad Wisłą", a może zrozumie o co tu chodzi. Ja twierdzę, że Zachód zdradził sam siebie i nie reprezentuje już tych wieczystych wartości, które swego czasu wytworzył; twierdzę, że taki np. hitleryzm jest tylko djalektycznem przeciwieństwem komunizmu, wyrosłem z tej samej negacji elementów klasyczno-chrześcijańskich kultury Zachodu, co i komunizm; twierdzę, że Liga Narodów jest emanacją masońskiego pseudo-humanitaryzmu, również przeciwstawnego duchowi kultury zachodniej. To co wy nazywacie „Wschodem", *przeniosło się już także na Zachód;* oto moja teza w popularnym skrócie. W tym zalewie sztandar uniwersalizmu duchowego kultury klasyczno-chrześcijańskiej, widzę już tylko w Polsce, choć i tu jego drzewce trzeszczy.

Czy warto było rozwodzić się nad tem wszystkiem? Czy po tylu przekręceniach i niezrozumieniach mej myśli, mogę się spodziewać, że będę tym razem dosłyszany? Wątpię... Wątpliwość ta, to nie defetyzm, ani pesymizm. Jestem *zdecydowanym optymistą*, wierzę w zwycięstwo prawdy i wartości wiecznych. Mój pesymizm dotyczy tylko aktualjów, tych panoszących się jeszcze widm „starego świata", które, da Bóg, już wkrótce spełzną i przeminą.

J. Braun.

nic więcej

W masie wydawanych zbiorów poezyj ukazuje się corocznie kilka tomów, stanowiących swego rodzaju elitę, oczekiwanych, czytanych i omawianych przez ogół (zresztą szczupły) interesujących się sprawami poezji. Niewątpliwie do elity tej należą publikacje poetyckie *Józefa Czechowicza*, czołowego poety t. zw. awangardy i jednego z najzdolniejszych poetów współczesnych. Z myślą o tem przystępujemy do omówienia świeżo wydanego przezeń (nakładem *księgarni F. Hoesicka)* tomu poezyj p. t.: *nic więcej*.

To, co przedewszystkiem uderza czytelnika poezyj Czechowicza, to ich trudność formalna. Nie uważam jednak, aby określenie to mogło stanowić zarzut. Przeczytanie już kilku wierszy poety oswaja czytelnika z rodzajem jego sztuki poetyckiej tak, że trudności napotkane na wstępie, rychło maleją, nikną. Zresztą nie sądzę, aby stawianie sobie i czytającym pewnych trudności było wadą. Byłaby nią raczej zbytnia łatwość, pójście przez poetę po linji najmniejszego oporu. Już jeden z pierwszych, tak nielicznych zresztą, teoretyków i znawców języka polskiego, Euzebjusz Słowacki, pisał: „...to wszystko, co sztukę zbyt łatwą czyni, usuwa z niej chwałę pokonanej trudności i ośmielając mierne dowcipy, zbliża ją do rzędu sztuk mniej mających godności".

Trudność poezyj Czechowicza możnaby podzielić na trudność niejako zewnętrzną i wewnętrzną (oczywiście nie mam zamiaru spierać się o te określenia). „Zewnętrzna" polega na nieużywaniu przez poetę dużych liter i znaków przestankowych. Myliłby się jednak grubo, ktoby twierdził, że „to już było". Cechy te u Czechowicza nie mają nic wspólnego z manierą poetycką „Sturm-und Drang-periodu". O ile tam były one skutkiem dążeń anarchiczno-niwelistycznych, a wogóle ślepego naśladownictwa, u Czechowicza mają ściśle określoną rolę. Zadaniem ich powodować swego rodzaju uobjektywnienie, szematyzację wierszy, ich niejako abstrakcyjność, dalej przyczyniać się do świadomie przez poetę wprowadzonej wielości interpretacyj jego utworów, oraz — w związku z powyższem — pobudzać czytelnika do pewnej współtwórczości z autorem.

Trudność „wewnętrzna" polega na silnem sprzężeniu przez Czechowicza liryzmu środkami artystycznemi „nowej liryki", w rodzaju odległych skojarzeń, intensywnej metaforyki i t. p., któremi włada w pełnem tego słowa znaczeniu, dając w swych poezjach często ekstrakt czystego liryzmu.

Trzy walory słowa: obrazowy, dźwiękowo-muzyczny i pojęciowy, Czechowicz rozwija i eksploatuje niejednolicie. Walor *obrazowy* gra w poezji jego rolę główną, jest poprostu jej podstawowym elementem, jej *materjałem*. Poezja Czechowicza to wprost łańcuch skojarzeniowy obrazów — wizyj, płynących z podświadomości i przepuszczanych przez filtr intelektualistyczny. Filtr to jednak czysto powierzchowny, nie zmieniający podświadomościowego charakteru poezji. Podświadomość i związane z nią, bardzo charakterystyczne momenty: sen i wizja, to wyłączne niemal jej motywy. Ten kompleks podświadomości syci twórczość Czechowicza, daje jej siłę sugestywności nieomal hipnotyczną, ale też kryje on w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Stosunek: podświadomość — świadomość, to problem hamletowy twórczości poety. Podświadomość, to nie kroczenie „obok", niejako „równolegle" do świadomości, tylko „inną drogą". Podświadomość, jako taka, to ruch *wsteczny*, regresja, a w skutkach: ściągnięcie sztuki wyłącznie do sfery *uczucia*, zubożenie jej (Libelt!). Taka pośrednia negacja świadomości, to („poza wiedzą jest już tylko byt") ściągnięcie sztuki w mroki bytowego bezwładu, grożące jej upadkiem po równi bardzo pochyłej. Przejście od podświadomości do świadomości jest, jak mówiliśmy, problemem hamletowym twórczości Czechowicza, zwłaszcza gdy zauważymy, że problem ten tkwi korzeniami już w pierwszym tomie jego, wydanym w r. 1927 p. t. *Kamień*. Że zasadniczo przejście takie jest możliwe, dowodzi zrobiony już, poważny pierwszy krok w tym kierunku — znakomity wprost wiersz „Dom św. Kazimierza", wogóle jeden z najlepszych utworów poetyckich ostatnich lat, genetycznie przeciwstawiony dziwnie całej niemal twórczości autora.

Z przewagi sfery podświadomości, w twórczości poety, nad świadomością, z tej jednostronności, wynika zapewne uczucie jakiegoś nagromadzenia się potencjału, naporu sił jeszcze niewyzyskanych przezeń, wrażenie, że możliwości jego są jeszcze bogatsze, a niewykorzystane.

Obrazowość poezyj Czechowicza, rozpatrywana już nie w związku z kwestją podświadomości, a niejako sama w sobie, (obraz—a nie wizja), to wdzięczne pole obserwacji dla miłośnika poezji. Świetnie władający intensywną, niecodzienną metaforą, tworzy poeta obrazy o wielkiej sile plastycznej, barwne, w rodzaju:

na wodzie lekki przewiew
grzebieniem jeszcze sennym
falę sycił
promienny

lub:

grzmot majowy grzywami ognistemi trząsł

czy też:

dymiły karminowe pieśni
leśny wieczór się prężył
stojąc w gęstwie wonnych paproci

Walor *dźwiękowo-muzyczny* słowa eksploatuje poeta intensywnie, a z należytą ostrożnością. Wiersz jego cały jest śpiewny, a śpiewność to giętka w intonacji, sharmonizowana z treścią, rzadko, a w stosownych momentach wybija się na plan pierwszy, akcentując onomatopeicznie treść wiersza:

paście się paście w chrzęście połonin
włóczęgi świerszcze śpiewacze

czy też dźwiękowo niejako modelując obraz, dodając mu plastyki, krągłości:

pagórki wonne pagórki dzwonne
po widnokręgach lubią się włóczyć

lub:

cyganka dzwon spódnicy
dzwon cyganka smagły przegub

Wreszcie walor *pojęciowy* słowa. Został on właściwie omówiony już uprzednio. Jak zaznaczyliśmy, kulminuje w świetnym wierszu „Dom św. Kazimierza", przeciwstawionym niejako (biorąc statystycznie) wszystkim prawie utworom Czechowicza.

Przechodząc do samej wypowiedzi poety stwierdzić trzeba, że godzi w niej nader szczęśliwie dużą, nawet bardzo dużą swobodę z zachowaniem niezbędnego minimum zewnętrznych więzów formalnych. Więzy te są tak szczupłe i tak delikatnie założone, że zupełnie się ich „nie słyszy", nie odczuwa. Czechowicz zachował zasadniczo układ stroficzny, choć modeluje go bardzo plastycznie, zgodnie z rytmem wewnętrznym wiersza, którego grafikę rozwiązuje celowo, trafnie:

poranek płoty naprzeciw szyn kolejowych
plątowisko
dzwon gasnący z kościoła wśród nawałnicy drzew
zakonnic śpiew
płacz dzieci
chyba już wszystko

Przykład powyższy to minjatura najlepiej ilustrująca stosunek autora do zagadnienia strofy, rytmu i grafiki wiersza. Znajdują one w jego utworach rozwiązanie organiczne, w pewnym sensie automatyczne. Bogate możliwości poety pozwalają mu zarówno chwycić szeroki oddech, jak i urozmaicić i przepleść, lub zamknąć wiersze wieloakcentowe jedno-, dwuakcentową klamrą.

Swobodną, autonomiczną wysoce strofę spina poeta skąpo rymem, przechodzącym od rymu pełnego, przez asonans, do dalekiego podobieństwa dźwiękowego, przyczem rym ten nie jest użyty tylko „dla rymu". Oprócz zadania spięcia strofy, oprócz znaczenia niejako rytmicznego, rym ten, czy asonans, zużytkowuje autor w kierunku czysto muzycznym, zestrajając go starannie z całością wiersza, z którym współbrzmi zgodnie i naturalnie.

Wprowadzone novum w wyglądzie zewnętrznym bibljoteki poetyckiej księgarni F. Hoesicka jest trafnem i pożądanem urozmaiceniem szaty wydawanych tomów.

Mirosław Starost.

O idealiźmie i realiźmie (10)

(Dokończenie)

Materjaliści wyobrażają sobie, że od drobin wielo - wieloatomowych ciał białkowych (2000 czy 3000 atomów albo więcej) do „micelek", czyli skupień jakichś tych drobin, a stąd do pierwszego „żywego" stadjum materji, którą wyobrażają sobie jakoś galaretowato-astrukturalnie, a jednak jakoś już *„na żywo"* (tu następuje ten trick jak u niezręcznego prestidigitatora) jest przejście ciągłe, podczas gdy w istocie jest tu przepaść nie do przebycia czy weźmiemy atomy jako cząstki hypotetyczne czy też jako faktycznie istniejące „istności", w rodzaju naszych skupień gwiezdnych, z tem tylko zastrzeżeniem, że nie pytamy już o strukturę „wewnętrzną" pierwszych, w razie o ile musimy je przyjąć za w powyższym sensie realne, ponieważ pytania te i tak i tak do niczegoby nie doprowadziły. Fizyka musi utknąć na pewnego rzędu małości cząsteczkach, które zakłada, czy też musi przyjąć za realne dla wyjaśnienia ilościowego świata jakości bezpośrednio danych. Nad tem przejściem ciągłem, którego przepaścistości widzieć nie chcą, prześlizgują się materjaliści lekko i beztrosko, obiecując sobie udowodnienie tej ciągłości w przyszłości zależnie od postępów eksperymentalnej fizyki, bijologji komórkowej i fizjologji. Oczywiście nie nastąpi to nigdy, mimo, że kryształy płynne rosną, a koloidy reagują jak protoplazma itp. Są to tylko analogje i tylko wtedy ważne, o ile patrzymy na „materję martwą" w przybliżeniu poglądu życiowego, w naszych wymiarach wielkości. Wtedy od koloidu do naszego ciała droga zdaje się niedaleka—tuż tuż zdają się być te dwa gatunki pozornie jednej i tej samej rzeczy — można się uspokoić myśląc z rozkoszą o ich niedługiem w jednem pojęciu połączeniu. Jakkolwiek nie możemy w nas wmówić, że 10 krzeseł skombinowanych może dać w rezultacie coś żywego, to jednak w wymiarach międzycząsteczkowych wydaje się to nam łatwiejszem, o ile patrzymy na nie z wysokości naszego wymiaru. Ale proszę przyjrzeć się tym stosunkom, które zachodzą między poszczególnemi rozciągłościami najdrobniejszemi w ruchu, gdy materja życiowego poglądu potulna i podatna dla fantazji materjalisty, zostaje rozbita na „przedmioty fizykalne": a to materjalista anwizażować musi, bo musi przyjąć z dobrą wiarą co mu fizyka w danym punkcie swego rozwoju do wierzenia podaje — inaczej jest materjalistą życiowym, a idealistą fizykalnym, ale wtedy może być witalistą gdy chodzi o materję żywą, spirytystą gdy chodzi o życie zagrobowe i deistą, czy teistą, gdy chodzi o rzeczy ostateczne — niema już przed nim żadnych granic rozmaitości poglądów. Czy tak zwani „ludziska", czyli maluczcy duchem czy maluczcy intelektu, (do których mogą należeć hrabiowie, przemysłowcy ciężcy, królowie panujący i uczeni nawet, razem z przedstawicielami świata pracy, aż do tych co spełniają funkcje społecznie najniższe) nie myślą często w tych miszkulanckich kategorjach? — Mało jest dziś ludzi konsekwentnych w swym jednolitym, choćby nawet fantastycznym światopoglądzie. Wszystkie te problemy znikają jeśli zechce się uznać, do czego zaprasza nas również pogląd życiowy i stanowiący jego odmianę t. zw. pogląd „zdrowego rozsądku", że my, stworzenia żywe, jesteśmy czemś najistotniejszem, najpierwotniejszem stanowiącem jako byty same w sobie, same dla siebie niezależnie od czyjejś obserwacji i działań zewnętrznych w pewnej granicy istniejące i posiadające jakości w swych trwaniach, które wyznaczają dla nas dookolną rzeczywistość i nasze ciała, które składają się z organów będących również bardzo zróżnicowanemi Istnieniami Poszczególnemi. I uznać że to, co mówi nam bijologja, że my i inne stwory, a nawet rośliny, składamy się dalej z Istnień Poszczególnych częściowych jeszcze drobniejszych, komórek, które możemy również obserwować w stanie wolnym do naszego podobnym. I uznać to, że dotąd, mimo szalonego rozwoju metod badania nikt nie skonstatował, że to, co się w najprostszej komórce dzieje, jest bez reszty sprowadzalne li tylko do działania ślepych sił. I wziąwszy pod uwagę pierwotność tych faktów i ich realność, zastanowić się nad stopniem realności koncepcji fizykalnych, które obecnie w kompletny fizykalny idealizm matematyczny się ewaporują, zostawiając za sobą realność sfer cząsteczkowych jedynie w tym rodzaju jaką przypisać możemy naszym układom gwiezdnym, czyli realność, która jest tak samo tajemnicza, jak nasza „materja martwa" poglądu życiowego i tak samo bezsilna, aby wyrazić coś tak z nią niewspółmiernego jak życie i to rozpatrywane (według najistotniejszej dwoistości Istnienia) od środka: jako psychizm czyli przesuwające się na tle jednej osobowości czucia, a z drugiej jako funkcjonowanie żywego organizmu, a nadewszystko jego powstawanie. Kwestja powstawania życia z materji martwej jest absolutnie nierozwiązalna w systemie nie uznającym tego, że właśnie materja żywa zindywidualizowana jest czemś pierwotnem i czego przykładami jesteśmy my sami i inne żywe stworzenia. Oczywiście skrupulatny idealizm, który z niechęcią uznaje niejako z łaski istnienie drugich indywiduów, a następnie deformuje istnienie w sposób zupełnie bezwzględny i okrutny, nie może uznać tego rodzaju postawienia kwestji. Jeśli przyjmiemy tę zasadniczą cechę („poprawionego") monadologizmu, to przynajmniej mamy jedną tylko tajemnicę, tajemnicę istnienia wogóle, a jako dodatkowe tajemnice od tamtej wprost pochodne mamy 1) problem złożenia się wielości indywiduów w ich organizacji na jedno trwanie samo dla siebie, 2) problem nieskończoności, a dalej 3) tajemnice również od tamtej wprost pochodne t. j. tajemnice wielości w jedności, ciągłości w przerywaności i stałości w zmienności. Może ktoś powiedzieć, że to i tak dość. Owszem ale to jest koniecznością implikowaną przez sam fakt istnienia, a nie tajemnicą luksusową, niekonieczną. W poglądzie uznającym obiecane rozwiązanie kwestji w wymiarach fizykalnych mamy aż dwie tajemnice luksusowe, pomijając tajemnicę istnienia zindywidualizowanej materji martwej, czyli tajemnicę istnienia wogóle, a mianowicie: a) tajemnicę materji martwej, której fizyka nam wcale nie wyjaśnia, bo inaczej musiałaby wyjaśnić kwestję nieskończoności aktualnej. Zatrzymuje się ona w wyjaśnieniu swem na pewnej małości „cząsteczkach" nie marząc już o opisaniu choć w przybliżeniu nawet z czego one same się składają: nic nie są one mniej tajemnicze od naszych przedmiotów widzialnych i dotykalnych, b) tajemnicę materji żywej, którą pogląd fizykalny obiecuje w swych terminach „wyjaśnić" i c) tajemnicę stosunku materji żywej z jej „stanami" (t. zw. psychicznemi) do materji martwej, czego rozjaśnienie w tych terminach wobec punktu (b) jest absolutnie wykluczone. Jeśli zaś przyjmiemy punkt widzenia monadologiczny powstanie takich stworzeń jak my i inne mniej mądre ale też wysoce zróżnicowane stwory, jest może wielką rzadkością, bo wymaga w naszym układzie, który nazwałbym trochę humorystycznie „układem gwiezdno-elektronowym wyższych gadów i ssaków" specjalnych bardzo warunków, tembardziej jeśli się przyjmie za Jeansem rzadkość tego rodzaju planet jak nasza, ale nie jest absolutnym cudem, jak i powstanie zresztą najlichszej ameby, bo całe istnienie jest razem z naszą ziemską materja martwą i słońcami Drogi Mlecznej i innych mgławic tylko rojowiskiem Istnień Poszczególnych, od których też wolną nie jest pusta dla nas i zamarzła międzygwiezdna (przestrzeń, bo według monadologizmu nie może być nicości absolutnej obok Istnienia, nie może być „dziur" w Istnieniu, które musimy przyjąć *w granicy* jako „prawie" [1]) ciągłe, na mocy ciągłości Przestrzeni. Ale to są już problemy Nieskończoności Aktualnej, przed któremi musi cofnąć się wszelka myśl nie czysto matematyczna, a ontologiczna. Wynika to z ograniczoności każdego Istnienia Poszczególnego w nieskończonem Istnieniu w całości. Na dowód mojej hypotezy przemawia to, że życie istnieje na całej naszej planecie równomiernie, od najgorętszych do najzimniejszych sfer. Trudno przypuścić, aby tworzenie się niesłychanie skomplikowanych połączeń białkowych było ogólnem prawem chemizmu planetarnego martwego, to znaczy nie-organicznego. Musimy założyć, że z każdej „materji martwej", składającej się z niesłychanej ilości drobnych (IPN) poniżej naszego rzędu wielkości (t. zn. naszych najdrobniejszych mikrobów) się znajdujących, potencjalnie może zawsze, przy pewnych warunkach powstać „materja żywa" wyżej zorganizowana, której przemiany: odżywianie się, oddychanie i rozmnażanie, musimy przyjąć jako wyrażalne w stosunkach tracących samodzielność przez wstępywanie do organizacji (co jest prawem istnienia bijologicznego naczelnem [2]) i odzyskujących ją w pewnych warunkach, co przy założeniu względności czasu, w znaczeniu jego subjektywnej krótkości i długości, nie ma w sobie nic szokującego. Wyższe, bardziej skomplikowane Istnienia Poszczególne, tworzą się z niższych, przez różnicowanie się tych ostatnich i przystosowywanie się w ten sposób do życia wspólnego. Widzimy w naszym wycinku świata wszystkie formy organizacji od luźnej symbjozy, poprzez organizacje tak ścisłe jak rośliny, aż do Istnień Poszczególnych samodzielnych, których mamy całą skalę skomplikowania od ameby aż do nas samych. Przez coraz ściślejsze zetknięcie się w tworach coraz bardziej jednolitych, *powoli* wytwarza się jedno trwanie samo dla siebie dla wszystkich Istnień Poszczególnych częściowych i selekcja tego, co ma być treścią tego trwania, ze względu na zachowanie indywiduum w środowisku. Ideja ta *powolnego* tworzenia się osobowości, tak organizacyjnie jak i świadomościowo, nie jest wcale tak szokująca jak ideja nagłego „powstania czuć" wśród elektronów — inaczej jak nagle, ze względu na przepaść dzielącą elektrony jako takie (albo np. ciała niebieskie dla wyrazistości przykładu) od komórek chociażby, jest to niewyobrażalne. Gdy tymczasem zrastanie się przez miljony lat Istnień Poszczególnych w inne większe (a więc gdy elementy są podobne do tworzonej przez nie całości — są tego samego gatunku istnościami) o wspólnych trwaniach, jest zupełnie do przyjęcia, a przytem jest faktem pozytywnym, absolutnie pewnym (z chwilą kiedy założymy już problematyczny „pierwszy początek", który trzeba w monadologicznej koncepcji odrzucić zupełnie), a istnienie elektronów nie jako skupień (IPN) i to takich jeszcze, elektronów, które nagle tworzą indywidua żywe, jest poprostu czemś zupełnie „inkoncewabel" — sztuczną tajemnicą, przerastającą tajemniczością swą wszystkie tajemnice „naturalne", t. j. tkwiące w samej istocie istnienia. Ale i samo powolne „powstanie" wyższych tworów, w formie tworzenia początkowo luźnej kolonji istnień, nie przedstawia nic tajemniczego w tym stopniu jak „powstanie z elektronów". Czyli, że na tle tego, że cała nasza planeta składa się z Istnień Poszczególnych, nic nie jest dziwnego, że w pewnych warunkach na całej jej powierzchni mogą powstać Istnienia Poszczególne pewnych wymiarów, a następnie pewnej komplikacji. Proces ten odbywa się tak samo za naszych czasów jak i dziś, tylko, może wskutek istnienia już pewnych typów, trudniej powstać mogą zupełnie nowe, na tle walki o byt różnorodnych stworów, przez którą wszystko trzyma się we względnej równowadze i pewne gatunki nie zdobywają liczebnej przewagi, mogącej zniszczyć gatunki inne, nawet od nich o wiele wyższe. Znika przez takie ujęcie rzeczy problem absolutnie beznadziejny w innem ujęciu, t. j. zakładającem różność zasadniczą obu gatunków materji, lub rzekomą a w istocie niemożliwą sprowadzalność żywej do martwej, a mianowicie problem „rozżarzenia" kuli ziemskiej w stosunku do późniejszego na niej życia. Wtedy trzeba założyć, że jak warunki dla życia (w naszych wymiarach pojmowanego t. zn. począwszy od tego co nam jest znane jako żywe, czyli od bakterji) się ułożyły, powstało ono przez zczepienie się atomów węglowodoru, tlenu i azotu i tak któregoś dnia nagle taka kombinacja atomów poczuła przypuśćmy dotyk i zachciało się jej żreć i to żreć drugą taką, cudownie gdzieś w bliskości również powstałą kombinację atomów, czy też zgwałcić ją i zrobić z nią nową—niewiadomo. Jak to jest do pomyślenia, z chwilą kiedy się bierze pod uwagę elektronową strukturę atomów jako rzeczywistą, w znaczeniu systemów gwiezdnych, nikt tego powiedzieć explicite nie zdoła — jest to tylko tanie powiedzonko, którem pseudo-naukowi filozofowie okłamują siebie i innych. Trudność potęguje to, że według poglądu fizykalnego, między poszczególnemi elektronami przyjąć trzeba olbrzymie stosunkowo przestrzenie puste — gdy się rozważa koloidy lub ciała białkowate z których ma lada chwila trysnąć życie, nie uwzględnia się jakby fizykalnego obrazu tej materji, który może być (choć nie musi) realistycznym. Szczytem niezrozumienia problemu jest według mnie przypisywanie życia wprost atomom czy elektronom, na tle zapewne przejściowych, lub sprowadzalnych, albo wreszcie wogóle ani przejściowych, ani sprowadzalnych tylko polegających na małości wymiarów rozpatrywanych układów w stosunku do obserwatora, koncepcji indeterministycznych w zastosowaniu do najdrobniejszych cząstek materji. Są jeszcze tacy co dodają: więc tu gdzie wszystko było pewne i określone następuje dowolność, a w psychice gdzie zdawałoby się jesteśmy zupełnie swobodni, panują żelazne prawa konstytucjonalnych typów Kretschmera. Nie rozumieją tego rodzaju typy „ludzisków" i laików, że stu Kretschmerów nie sprowadzi życia psychicznego i dowolności każdego (IP) w pewnym stopniu do konieczności, z drugiej znów strony, że dowolność, o której mówi fizyka, polega albo na naszej koniecznej ułomności (kwestja mierzenia i zmiany układu obserwowanego przez sam fakt obserwacji w stosunku do układów bardzo małych (innego rzędu wielkości niż nasz układ, w którym żyjemy) albo jest sprowadzalna do szerszej jakiejś teorji [3]). Tu chodzi o stosunek koncepcji konieczności absolutnej fizykalnej i dowolności w obrębie fizyki, a nie o jakieś „stadja przejściowe" rzeczywistości. Takiem „stadjum przejściowem" jest każdy układ rzeczywisty, w którym żyją dane (IPN), rozpatrywane jako takie same dla siebie—tam mamy ich względną dowolność i konieczność, (która nam jako absolutna się przedstawia i to z konieczności, w wyniku samej struktury istnienia, a nie na mocy zasady indukcji—to ostatnie jest stadjum genetycznie pierwotne, ale teoretycznie nieistotne) panująca wśród układów martwych środowiska materji, które dla każdego (IP) musimy założyć, aż do granicy (IPN) „nieskończenie w granicy małych, będących w granicy własnem swem „środowiskiem" (?). Zdanie to ostatnie już jest pozbawione sensu, bo nie wolno operować pojęciem Aktualnej Nieskończoności w stosunku do Istnienia rzeczywistego — na tem polega jego niezgłębiona tajemnica, wobec której i wszechwładna skądinąd fizyka w swoich wymiarach jest bezsilna. W ten sam sposób rozstrzyga się, beznadziejnie dualistyczny w innych systemach z wyjątkiem idealistycznych, problemat wolnej woli: jesteśmy zasadniczo wolni, my i wszystkie żywe stworzenia w różnym stopniu, w zależności od naszej struktury (komplikacji i jedności), a dalej w związku z prawami środowiska materji martwej (fikcyjnego w istocie), w którem żyjemy.

Absolutna konieczność nie istnieje, jakkolwiek na tle konieczności istnienia zawsze jakiegoś środowiska materji martwej jest fikcją konieczną do przyjęcia. Rozciąganie tej konieczności na stworzenia żywe jest zupełnie nieuprawnione — ona sama jest tylko złudzeniem, wynikłem ze sumowania się wielkiej ilości wzajemnych działań mniej lub więcej dowolnych. Tak samo bezsensowne jest dowodzenie konieczności absolutnej czynów stworzeń żywych, na drodze rozważania motywów psychologicznych. Przecież tu chodzi wtedy o gadania życiowe „zgrubsza" (jak mówi Chwistek), a nie o żadną ścisłość w znaczeniu fizykalnem. Układy „motywów" i skutków są zupełnie dowolnie wyodrębnionemi z przebiegu przeżyć grupami, a stosunki ich nie mogą rościć sobie prawa do żadnej absolutnej konieczności — jest to tylko gruba analogja, powstała na tle pomieszania konieczności fizykalnej fikcyjnej absolutnej, ze względną koniecznością biologiczną, czy raczej anatomiczno-fizjologiczną (względną, bo w życiu żywego stworu w związku z jego pamięcią, (jak to wyjątkowo słusznie mówi Bergson), nic się nie powtarza dokładniej, a następnie koniecznością logicznego dowodzenia — koncepcji nie mających ze sobą żadnego istotnego związku.

S. I. Witkiewicz.

[1]) Piszę „prawie", dlatego, że ciągłość tę możemy pomyśleć tylko w granicy, poprzez pośrednie „warstwy nieciągłości", aż do nieskończoności i coraz mniej gęste rodzaje „materji" — oczywiście składające się z (IPN).

[2]) Czy weźmiemy to jako przystępowanie zzewnątrz, czy też przy tworzeniu się np. nowych komórek wewnątrz danego organizmu to wszystko jedno.

[3]) Bo innego rodzaju objektywnej dowolności, jak dowolne ruchy własne lub ruchy rośnięcia stworu żywego, wyobrazić sobie nie możemy. Do kwestji indeterminizmu powrócę na innem miejscu.

Z poezji niemieckiej

Leopold Lewin: Z poezji niemieckiej. Przekłady (George, Hofmannsthal, Rilke). Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1936. Str. 74.

Przekłady, raczej przykłady. Przykłady złych przekładów. Kolejność tłumaczonych autorów — George, Hofmannsthal, Rilke — odpowiada kolejności stopniowania — źle, gorzej, najgorzej. *Źle* jest, i to bardzo, już z Georgem, którego utwory, choć jeszcze nie obarczone grubemi błędami tłumaczenia, jak poezje Hofmannsthala, czy Rilkego, niemniej przełożone są niesłychanie sztucznie, sztywno, wprost za łeb przeciągane „na polskie". Nic dziwnego, że w tych warunkach powstają płody poronione, suchotniczo-papierowe, nużące i nudne jak przysłowiowe flaki z olejem.

Gorzej — to Hofmannsthal. Gorzej, bo i sztuczność przekładu, i sztywność, i papierowość, i nuda — jak wyżej, a dochodzi do tego jeszcze cecha specjalna: śpiewność Hofmannsthala to przeszkoda, na której wpaść może niejeden jeszcze tłumacz, znacznie nawet lepszy od Lewina; na tej to śpiewności Lewin rozciągnął się jak długi. Oddaje ją tak prymitywnie, tak płasko, że „uszy zatykać". Do doskonałej wprost płaskości doprowadzona została naprzykład taka *Pieśń życia,* zamieniona przez Lewina w zwykły szlagier włastowy, i to z tych gorszych.

W tłumaczeniach z Hofmannsthala spotykamy też liczne, wyraźne już błędy. Mam tu na myśli zarówno błędy tłumaczenia, jak i błędy poetyckie. Z tego punktu widzenia błędem będzie zarówno gdy np. proste: „(wir)... reden viele Worte..." przekłada zgoła tajemniczo (zresztą bezsensownie): „...i wciąż te same powtarzamy znaki..." (? ! powód — zapotrzebowanie na rym do „jednaki"), jak też gdy w upojeniu komunikuje: „...te zjawiska... brały mnie całkiem z mojemi zmysłami...", lub, kreśląc wdzięczny krajobraz zauważa: „...tam stoją drzewa oddział za oddziałem..."

Od takich błędów rojno i gwarno na dziewięciu kartkach tłumaczeń z Hofmannsthala. Bynajmniej nie są to przykłady specjalnie złośliwie wyszukane.

Wreszcie superlatyw — *najgorzej.* To Rilke. Subtelna formalnie, ważka treściowo poezja Rilkego trudna jest wyjątkowo w przekładzie. Dlatego może dobrych spolszczeń Rilkego właściwie, poza wyjątkami, nie posiadamy. A ponieważ wyjątki takie są specjalnie cenne, pozwalam sobie zwrócić uwagę na piękny przekład *Jesieni* Rilkego dokonany przez Waśniewskiego (drukowany niedawno w Kamenie). Trudność, jaką Rilke przedstawia dla tłumacza, wprost „zarżnęła" Lewina. Odarty formalnie, spłycony i strywializowany treściowo, to już nie ruina, ale wprost parodja Rilkego. Parodja kulminuje wreszcie w wierszach końcowych tomiku. Taka naprzykład tragiczna *Pieśń trędowatego* czy *Pieśń samobójcy,* w interpretacji p. Lewina pełna jest niefrasobliwego, niezamierzonego humoru, wręcz komizmu.

Niedawno gdy mnie z stryczka zdjęli,
To nawet nieco już wieczności
Wpłynęło w me wnętrzności.

Co robić z takiem tłumaczeniem? — Stara rada: czemprędzej przełożyć spowrotem na niemiecki.

M. Starost.

Świat słowiański

Ośmnasto-tomowe wydanie dramatów Szekspira zapowiadają Sowiety. Ponad trzydzieści dramatów będzie na nowo przełożonych. Redakcję wydawnictwa objęli E. Dinamow i A. Smirnow. Przypuszczalnie całość ukaże się w ciągu trzech lat.

Pism zebranych Majakowskiego, wydawanych w Moskwie, ukazały się tomy 1, 3, 5, 6, 7, 9 i 10 (całość twórczości poety wypełni tomów 14). W druku znajdują się dalsze trzy tomy — tom 2-gi, zawierający lirykę z lat 1917—24, tom 8-y — liryka z lat 1925—27 i tom 11-y — pisma agitacyjne Majakowskiego z lat 1917—30. Pozostaną jeszcze do druku: tom 12-y zawierający scenarjusze filmowe, tom 13-y — pisma prozą, jak artykuły, mowy, przedmowy do zbiorków poezyj, notatki, wreszcie tom 14-y — autobiografja i listy, oraz obszerna biografja napisana przez O. Brika, wreszcie bibljografja.

W Ukraińskiej Bibljotece im. S. Petlury w Paryżu zorganizowano wykłady naukowe, m. in. mówić będzie W. Prokopowycz o „Ewangelji w języku arabskim, wydanej sumptem hetmana Iwana Mazepy", oraz A. Jakowliw o „Kwestji autorstwa Historji Rusów".

Nad opracowaniem słownika angielsko-ukraińskiego pracuje grono ukraińskich wychowanków uniwersytetów amerykańskich. Praca jest skoncentrowana przy uniwersytecie Kolumbijskim w New-Yorku.

„Bibljoteka Ridnoj Mowy" (Warszawa) wydała dwie prace: Iwana Ohijenki „Souczasna ukraińska literaturna mowa" i „Składnia ukraińskoj mowy".

Listy Puszkina do Natalji Gonczarowej, późniejszej żony poety, ukazały się w Paryżu w bibljofilskiem wydaniu, opracowanem przez M. Hofmanna i S. Lifara. Wydawnictwo przynosi listy niedrukowane, nieznaną miniaturę poety pendzla Tropinina. Egzemplarze na papierze japońskim mają cenę 500 franków.

Tom poezyj Maksyma Rylskiego p. t. „Kijów" ukazał się w Charkowie.

Słowiański Instytut w Pradze wydał jako XVI tom „Práce Slovanského Ustavu w Praze" pracę prof. Jana Máhala p. t. „O symbolismu w literatuře polské a ruské". Praca ta — nie wyczerpująca całkowicie postawionego zagadnienia jest przyczynkiem do czołowego dzieła tego uczonego, noszącego tytuł „Slovanské Literatury". We wstępie szkicuje autor genezę i gatunek symbolizmu, powstałego na zachodzie, w literaturze francuskiej, u Wagnera i Nietzsche'go. W części poświęconej symbolizmowi polskiemu omawia autor działalność grupy krakowskiej „Młodej Polski", mówi o Wyspiańskim, Przybyszewskim, Żuławskim, Kasprowiczu, Micińskim, z warszawskich symbolistów: o Langiem i Miriamie. Część poświęcona lit. rosyjskiej rozpada się na szereg monografij: Brjusowa, Balmonta, Sołowjowa, Sołoguba, Bielego, Błoka i in.

Książki i czasopisma

***Augustyn Jakubisiak:** Od zakresu do treści.* Bibljoteka Drogi nr. 7, Warszawa 1936, str. 296.

Bronisław Ludwik Michalski: Spotkanie z brzozą. Warszawa 1936. F. Hoesick. Str. 50.

Józef Czechowicz: nic więcej. F. Hoesick. Warszawa 1936. Str. 53.

Leopold Lewin: Z poezji niemieckiej. Przekłady. (George, Hofmannsthal, Rilke). Nakł. księg. F. Hoesicka. Warszawa 1936. Str. 74.

Mieczysław Braun: Żywe stronice. Nakł. księg. F. Hoesicka. Warszawa 1936. Str. 65.

Franciszek Lipiński: Cherubinowy lament. Nakł. księg. „Nauka i Sztuka". Kraków 1935. Str. 90.

Stanisław Jerzy Lec: Satyry patetyczne. Warszawa 1936. Wydawnictwo M. Fruchtmanna. Str. 23.

Janusz A. Rymsza: Purpurowa sonata, Warszawa 1935. Nakł. Domu Książki Polskiej. Str. 48.

Wacław Łypacewicz: Stosunki polsko-czeskie. Warszawa 1936. Nakł. Polskiego Instytutu Współpracy z Zagranicą. Str. 53.

Ruch Filosofický (r. XI, nr. 1—2) F. Pelikán: Condillac a condillacism w franc. filosofii XIX; J. Metallmann (Kraków): Elementy příčinného determinismu; L. Brunschwicg (Paris): La philosophie et la religion; H. Mehlberg (Stanisławów): Le temps physique et extraphysique; D. Michalczew (Moskwa): Grundwissenschaft und Philosophie des Marxismus; B. Jakovenko: M. N. Katkov und V. P. Botkin als Hegelianer; F. Krauze: J. Durdlik und Max. Dossbach; D. Nedĕljković (Skoplje): Les courants de la philosophie matérialiste en Jougoslavie.

Głos (r. VI, nr. 2) Adam Moskal: Kultura czy jarmark; X. J. Prądzyński: Ład życia; M. Zdziechowski: Nauka polska na przełomie (Spowodu artykułu p. Józefa Cieślińskiego); Przez kraj „Ogniem i mieczem"; M. Malkiewiczówna: Paweł Bourget; Cz. Pilichowski: Urbanizacja czy rustyfikacja; A. Marcinkowski: Pod światło.

Biuletyn Polsko-Ukraiński (r. V, nr. 5) M. Bańko: Idea Petlury a społeczeństwo ukraińskie; R. Ż.: Z przeszłości chóru ukraińskiego; M. Staryćkyj: Z serbskich dum.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
Redaktor przyjmuje we wtorki od g. 18 — 19, piątki od g. 12 — 13. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.